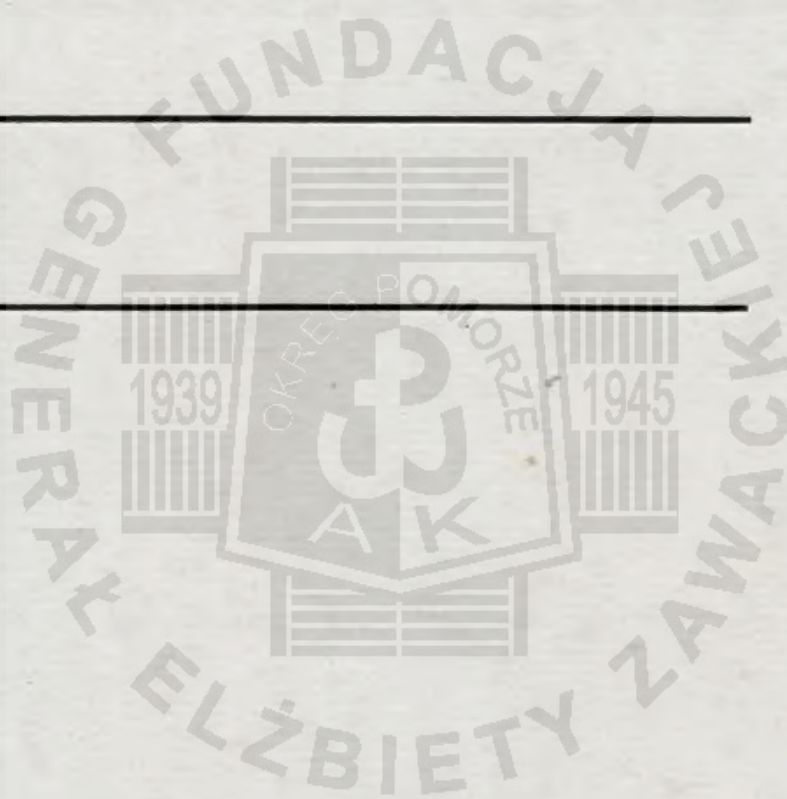


A. Baj - opne VI 2015



LHP

107 Warszawa

rel. 201

507  
201

PAWŁOWICZ Anna Elżbieta  
zam. Szeleńsz

1.07.1945 - 26.02.1946

24 72 / USK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — 2472 /usk  
PAKŁOWICZ Anna Elżbieta  
Zam. Szeleńsz

I/1. Relacja ✓ k. 2. s. 1-4

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora k. 19, s. 16

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 49 s. 51

III/1 – Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 – Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 – Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne...

IV. Korespondencja ✓ k. 5, 6, 6

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓

## II/1 Relacja

Relacja Anny Elżbiety Szalewicz z ol. Pastowej  
sporządzona według schematu relacji o wojennej służbie  
kobiet - żołnierzy w II i III AKP w latach 1939-1945,  
podpisana własnoręcznie z datą 12 VI 2001r.

rekonst. OKP. K2, s. 1-4

Relacja upbityba do Fundacji 31 I 2001r.



11/11

**Schemat relacji o wojennej służbie kobiet-żołnierzy  
W I i II Armii Wojska Polskiego  
w latach 1939-1945**

Relację można sporządzić również w sposób opisowy uwzględniając punkty schematu ale nie rozdziałając opisu na poszczególne punkty.

**I. DANE OSOBOWE**

- 1. Nazwisko (także panięskie z datą zmiany), imiona  
*Szelemierz Anna Elżbieta z d. Pawłowicz*
- 2. Data i miejsce urodzenia (w przypadku wsi podać powiat)  
*12.02.1925r Wólka Sobieszyska*
- 3. Imiona rodziców, nazwisko panięskie matki, dane o ich pracy zawodowej i społecznej  
*Aleksander i Elżbieta z d. Polberg.  
ojciec nadleśniczy, mama przy mężu.*
- 4. Obecny adres składającej relację, nr telefonu  
*Szelemierz Anna Elżbieta ul. 1945  
tel. 01-107 Warszawa*

**II. DANE ŚRODOWISKOWE**

- 1. Wykształcenie (nazwy szkół i lata ich ukończenia)  
*w 1939r zdałam do gimnazjum.*
- 2. Miejsce zamieszkania przed 1939 rokiem.  
*Fel. Józefin pocz. Poświętne<sup>K</sup>/zap. m. Białystok*
- 3. Czym zajmowała się przed 1939 rokiem (nauka, praca-jaka?)  
*uczenica*
- 4. Przynależność do ZHP, PCK, PWK, ZMW, Sodaliczja Mariańska  
*P.C.K*

**III. UDZIAŁ W KAMPANII WRZEŚNIOWEJ 1939 ROKU**

Przydział, funkcja, służba wojskowa lub udział w obronie cywilnej, służba sanitarna  
*byłam zbyt młoda*

IV. DANE Z OKRESU LAT 1939-1945

Nauka, praca, udział w konspiracji (jakiej?)

nauka do 1939r

1. Kiedy i w jakich okolicznościach znalazła się w ZSRR? (wywiezienie, aresztowanie, ewakuacja, miejsce pobytu – charakter pracy)

W 1940r zostałam wraz z rodziną wraz z rodziną bez rozkazu wywieziona na Syberię obł. Irkutsk rej. Tajszet pos. Kmitoh. Ciężka praca fizyczna w tajdze przy wyrzbie lasu, tartaku, szypotrebie robiłam uarty, ładowanie wagonów, sianołoby. A przecież miałam tylko 14 lat.

2. Moja droga do wojska polskiego (mobilizacja- podać przez kogo zmobilizowana i kiedy, zaciąg ochotniczy)

zmobilizowana zostałam przez RKK Tajszet w sierpniu 1943r

3. Data rozpoczęcia służby w wojsku i data zdemobilizowania

1.09.1943 zdemobilizowana w 20.06.1946r w Radom. Siles nad Bug

4. Nazwy kolejnych jednostek, w których odbywała służbę wojskową

1.09.43r 2-gi PAK 2-jej Dym imy. H. Dąbrowskiego  
27.12.1945r zostałam przeniesiona do samodzielnej Kompanii Łączności przy 2-DP jako st. telefonista - radziska

5. Jakie wykonywała zadania i jakie zajmowała stanowiska lub funkcje w wojsku

Praca na centrali telefonicznej i radiostacji w obu jednostkach

6. Jakie przeszła przeszkolenie w wojsku (szkoły, kursy, itp.)

Kurs Łącznościowców w Puławach oraz kurs oświatowy w Puławach

7. W jakich bitwach brała udział (miejsce, data, odniesione rany i kontuzje, gdzie i kiedy?)

18 lipca 1944 Turia nad Bugiem pierwszy okres bojowy. Puławy, Wartha, Warszawa, Łódź Pomorski forsowanie Odry, koniec wojny nad Łabą. Kontuzjowana pod Puławami w 44r.

8. Stopień wojskowy w chwili demobilizacji (data ostatniego awansu) 11.10.43 awans na kaprala  
22.05.1945 awans na sierżanta

9. Odznaczenia bojowe, państwowe i społeczne do znaczących odznaczeń bojowych: Brązowy Medal Zasł. na Polu Chwały, Medal Komisji Edukacji Narodowej, oraz Krzyż Kaw. Ord. Odrodzenia Polski. oraz medale za 10-letnią służbę, ewyngielstwo za Berlin. oraz wiele pamiątek wojennych i społecznych odznaczeń.

V. ŻYCIORYS POWOJENNY

1. Dalsze kształcenie się. Warunki rodzinne. Praca zawodowa i działalność społeczna. Wpływ służby wojskowej na życie powojenne. (Jest bardzo pożądane nadsyłanie oddzielnych wspomnień przedstawiających losy wojenne i powojenne)

Przebiegał życie powojenne oddzielnie



2. Z jakimi trudnościami życiowymi borykała się bezpośrednio po wyjściu z wojska, czy korzystała z pomocy władz państwowych czy społecznych?

Ciężka choroba gruźlica z latą sanatorium otwock. nie korzystałam.

3. Obecne źródło utrzymania ( emerytura, renta z ogólnego stanu zdrowia, renta inwalidy wojennego, renta rolna, renta wdowia, proszę uwzględnić grupy inwalidztwa)

renta po mężu i I grupa inwalidzka wojenna.

4. Obecny stan zdrowia

jestem po zawale, dystrofia, operacja tętnicy szyjnej, uderzenie a reszta zgodnie z medycyną.

5. Z jakiego rodzaju pomocy, służby zdrowia korzystała ?

wojskowa

Th/4

6. Czy była represjonowana po wojnie ( sama autorka lub jej rodzina, aresztowania, śledztwo, okoliczności, data i miejsce)

nie była.

7. Krótka charakterystyka najbliższej rodziny, jej losy wojenne, a także szczególnie sytuacje życiowe rodziców, rodzeństwa, męża, dzieci – ich wykształcenie, zawody, zajmowane stanowiska.

Ojciec Aleksander aresztowany w 1939 r. i więziony w Olsztynie i Tobolsku. Mama Elżbieta aresztowana i osadzona w Łagrze Sucho. Bezwodna ob. Gorki. Siostra Mańka, 18 lat, brat Zbigniew 16 lat, Elżunia 4 lata, Teresa 2 lata. Siostra Elżunia 30 maja 40 r. umiera na dżyfterię w Krakowie, brat Zbigniew w Armii Andersa. Siostra Mańka była razem z innymi w wojsku. Mam Łodzieci córka Wanda ur. 47 r. mgr ruskiej szkoły pracuje jako redaktor, syn Sławomir ur. 55 r. licencjat SQ P i S ekonomista i transportu pracuje jako dyr. w PIRP w Ł-wie.

Ojciec pracował w Pomiechodolu jako leśniczy zmarł w 80 r. Mama cały czas przy ojcu nie pracowała zawodowo, ale na Syberii opiekowała się samotnymi dziećmi, starcami i chorymi. Mama zmarła w 81 r. oboje pochowani są w Ł-wie na Powązkach.

Pożądane załączenie :

- dokumentów, wspomnień i fotografii dotyczących okresów przedwojennego, kampanii wrześniowej oraz okresu wojennego
- wykazu książek i artykułów, w których wzmiankuje się o służbie wojskowej autorki relacji i o jej formacji
- bardzo prosimy o podawanie , na nadsyłanych fotografiach, daty, nazwy jednostki, miejsca oraz w miarę możliwości imion i nazwisk osób tam uwiecznionych.

Czytelny podpis

Szelepnice H

Data 12.06.2000 r.

# I/2 Dokumenty (sensa stricto) dot. osoby relatora

1. Lesmateriale Nr. 383112, I Boliš, W-ru, 6 IV 1976r.  
Anna Szelemcz osobni zuzerajny  
mps, ksero k.1. s.1
  2. Legitamacija Sibirniku, fot, W-ru, dn. 17 III 1990r.  
slips, ksero k.1. s.2-3
  3. Legitamacija Nr. 8746/97 Odznaki Honorovej Honorovej Sibirniku  
W-ru, dn. 17 IX 1997r.  
mps, ksero k.1. s.4-5
  4. Knižeczka vojstvenca Peršoncz Anny, 0111360, RKU isplanu  
u Ruchovcu, demobilizacijna, dn. 26 VI 1946.  
mps, slips k.7 s. ~~1~~ 6-12
  5. Wyciąg z Rozkazu Nr. 060, Wojsko Polskie 2 Warszawskie  
u Czerwonego Sztendesa, Dywizja Piechoty im. H. Dąbrowskiego  
dnia 22 V 1945, nadawce Kaprel. Peršoncz Annie stopnie  
sierżanta.  
mps ksero k.1. s.8-13
  6. Charakterystyka szwadronu wydana telefonistce Peršoncz Annie  
przez Dowódcę sztabu Batonii 2 PAlu 2 Warszawskiej  
mps ksero k.1. s.8-14
  7. Podziękowanie do Rodziców Kpr. Anny Szelemcz  
od dowódcy Czyżkovej, 3 V 1944r.  
slips ksero k.1. s. ~~12~~ 15
  8. Hania Szelemcz z frontu 27 X 1944r list do Matki  
zslips ksero k.1. s.16
- Kserokopie dokumentu Anny Szelemcz z d. Peršoncz  
wpłynęły do Fundacji 31 I 2001r.



ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW O WOLNOŚĆ  
I DEMOKRACJĘ  
ZARZĄD WOJEWÓDZKI

w Warszawie

ZASWIADCZENIE № 383112

Zarząd Wojewódzki Związku Bojowników o Wolność i Demokrację stwierdza, że  
Obywatel [ka] Anna Szelewicz [imię i nazwisko]  
syn [córka] Aleksander urodzony [a] 12.II.1925 r. w Wólka Sobieszynska  
[dzień, miesiąc, rok] [miejsce] [mięscowość]  
zamieszkały [a] w Warszawa ul.

— jest członkiem zwyczajnym ZBoWiD, nr legitymacji \* 15136

— odpowiada warunkom uprawniającym do członkostwa ZBoWiD XXXX.

Zaswiadczenie jest dokumentem stwierdzającym prawo do korzystania ze świadczeń określonych w Ustawie z dnia 23 października 1975 r. „o dalszym zwiększeniu świadczeń dla kombatanów i więźniów obozów koncentracyjnych”, [Dz. U. Nr 34, poz. 186].

Jednocześnie stwierdza się, że w rozumieniu przepisów art. 8 tej Ustawy do okresu zatrudnienia wymienionemu [nej] zalicza się następujące okresy działalności kombatanckiej oraz okresy uwięzienia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych:

Służby w Odrodzonym Wojsku Polskim od IX.1943 r. do V.1945 r.

[rodzaj działalności okres od — do]

Łącznie 1 rok 9 m-cy

*Antoni Staszewski*  
Sekretarz  
Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD  
ul. podchorążych 10, Warszawa  
Wojewódzki Zarząd  
i pieczęć służbowa

*Antoni Staszewski*



*Władysław*  
Wiceprezes  
Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD  
ul. podchorążych 10, Warszawa  
podpis Prezesa Zarządu  
Wojewódzkiego ZBoWiD  
ul. podchorążych 10, Warszawa

Warszawa, dnia 6.IV. 1976 roku

\* niepotrzebnie skreślić

LEGITYMACJA

Nr 30938

I/2/21



1939 Anna Elzbieta 1945

Imię SZELEWICZ Rok urodzenia 1925

Nazwisko Warszawa

Adres ul.

Prezes Sekretarz Ryszard Ruff Elżbieta

Warszawa dn 17.03.1990r.

2012 velt

FUNDACJA  
GENERALNA  
KAWACKIEJ



3/2/3

Za zgodność z oryginałem



KIEROWNIK  
Wydziału Ewidencji i Weryfikacji

Wojciech Maliszewski

FUNDACJA  
GENERAK  
ELŻBIETY ZAWACKIEJ

**LEGITYMACJA**

Nr ..... 8746/97

UCHWAŁĄ <sup>I/2/4</sup>  
ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW

została nadana

Panu (i) ..... Annie  
Szelewicz

ODZNAKA HONOROWA  
SYBIRAKA



*RRoff* Prezes

Warszawa, dnia 17.09.1997r

*Verta*

I/2/5

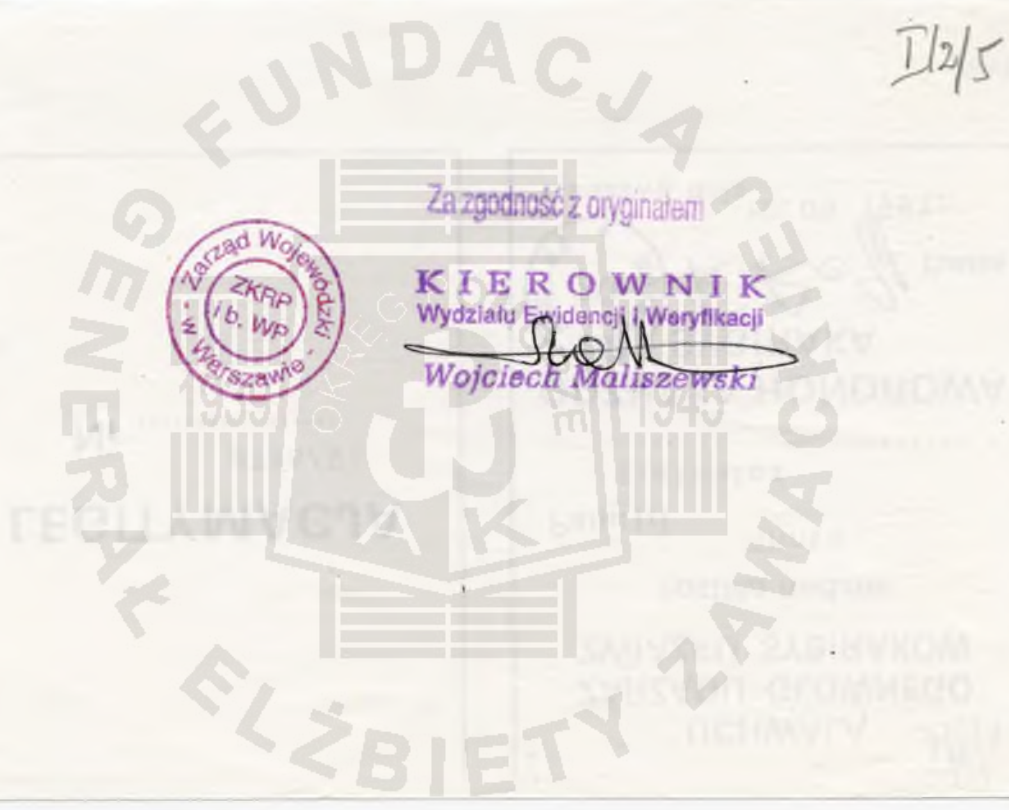
Za zgodność z oryginałem

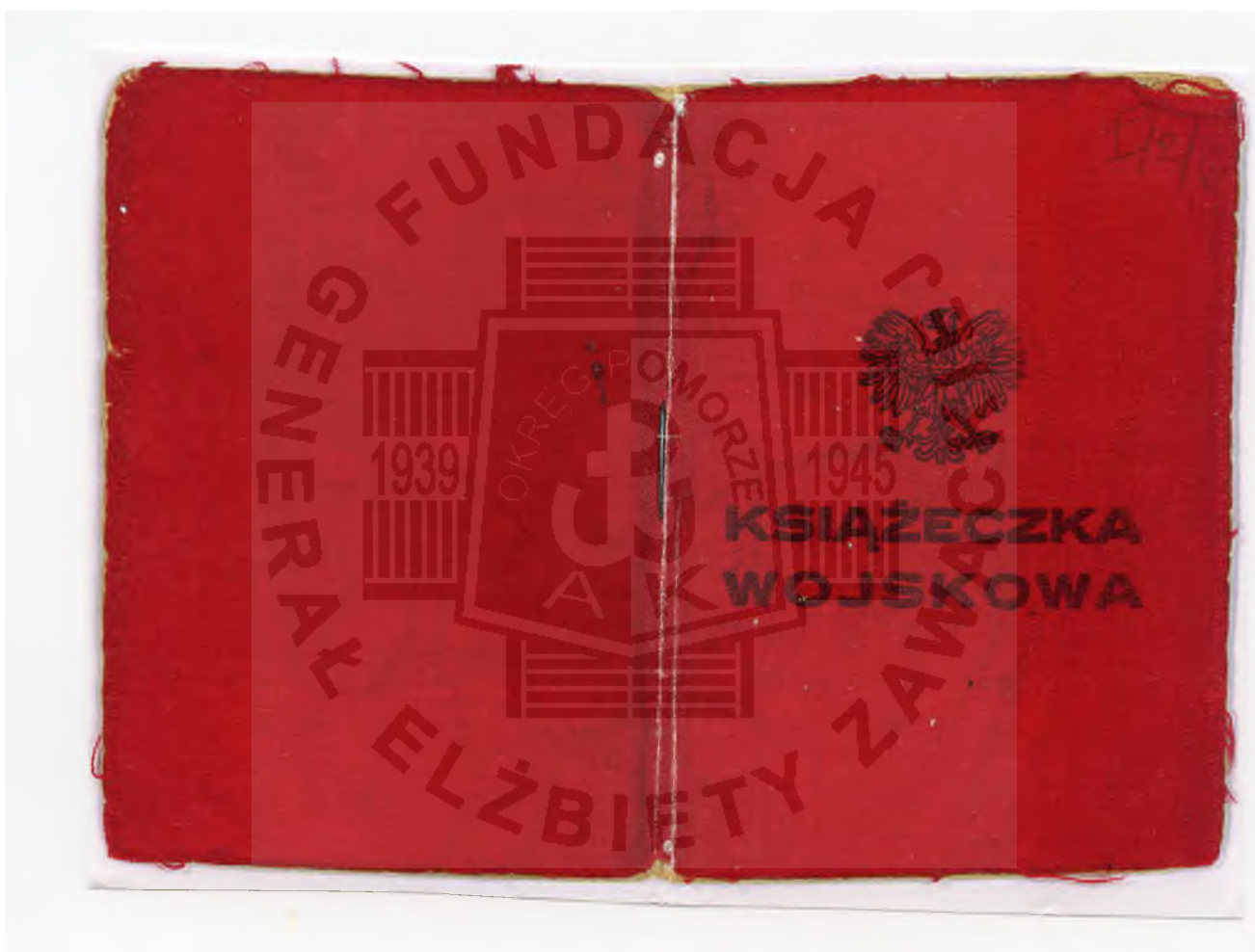


**KIEROWNIK**  
Wydziału Ewidencji i Weryfikacji

*Wojciech Maliszewski*

**Wojciech Maliszewski**





RZECZPOSPOLITA POLSKA

Seria A



01113607

**KSIAŻECZKA WOJSKOWA**

*Stachowiak*  
(Nazwisko)

*Stach*  
(Imię)

*Włocławski*  
(Imię ojca)

Wydana przez: *R. KU - Radom*  
(Nazwa RKU lub Jednostki Wojsk.)  
*Komendant R. K. U Radom*



*Włocławski*  
(Stanowisko i stopień wojskowy)

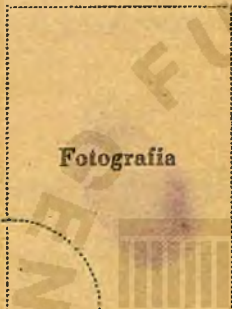
*Radom*, dn. *26. 6.* 19*39* r.

FUNDACJA  
GENERALNA  
1939  
ELŻBIETA

12/7



L EWIDENCJA WOJSKOWA 12/8



Odcisk pieczęci

*A. Pawłowicz*

Własnoręczny podpis posiadacza książeczki

*Pawłowicz Roman o. Aleksandra*

**DIJSKO PAWŁOWICZ**  
 Wzrost, imię i imię ojca  
 Podpułkownik **R. K. U. Radom**  
 Wzrost, data i podpisu stwierdzan  
 Wzrost, data i podpisu stwierdzan  
 Przechować przepisów i chronić książeczkę  
 wojskową.

1. Data urodzenia	<i>12. 11. 1925-</i>
2. Kategoria wojskowa	
3. Rodzaj broni	<i>E. P. R. Lotniczej</i>
4. Podof. szereg.	<i>podoficer</i>
5. Nr. specj. wojskowej	
6. Nazwa spec. wojskowej	<i>Antylenia - 31 telekomunik.</i>
7. Kwalifik. wojskowe	
8. Stopień wojskowy	<i>podpułkownik</i>

### III. PRZEBIEG POBORU

Data poboru, przez którą R. K. U. i orzeczenie Komisji Lekarskiej.

1.9.43. RKM-Tajszrecki

Do jakiej Jednostki skierowany.

L.P.R. Lekkiej

### R y s o p i s

Obwód klatki piers. cm.	Obwód głowy cm.	Maska gazowa			Wielkość obuwia
		wielka	średn.	mala	
1					

6

### IV. PRZEBIEG SŁUŻBY WOJSKOWEJ

Data rozpoczęcia służby, jednostka wojskowa, zajmowane funkcje i data ukończenia służby.

1.9.43. wielofunkcyjna prier  
RKM-Tajszrecki do L.P.R.

26.XI.44 w promocienie do  
32 m. Komp. Łojowotni

11.V.43 awans na kaprala

15.7.44 - 9.V.45 pobyt na  
frontach: Pajany, Horka, i

Pomorie, fortowanie Odr  
2.V.45 awans na sierżanta

8.VI.45 powrocie do  
L.P.R. Lekkiej. 20.11.46

7

12/19

moje bratrowa na pocz.  
Lwów Polk. Marc. 29/1892.  
R. 1891 - 20 kua 18-8-15



Jan B. K. U. Radem

*[Handwritten signature]*  
LUBIŃSKI por

I 12/10

II. EWIDENCJA OGÓLNA

Miejsce urodzenia	Województwo	Lubelskie
	Powiat	Parowski
	Gmina	Hołka Sobiczyńska
9.	Miejscowość	
10.	Zawód	Uczennica <small>(robotnik, rolnik, rzemieślnik, urzędnik itp.)</small>
11.	Specjalność w zawodzie	
12.	Narodowość	polka
13.	Język macierzysty	polski
14.	Znajomość języków obcych	rosyjski

I/2/41

Wykształcenie cywilne	Piśmienny — analfabeta <small>(właściwe podkreślić)</small>		
	Szkoła Powszechna		
	w Kozłowie		
	Ilość klas 7		
	Szkoły średnie		
	Licea		
	Uczelnie wyższe		
	15.		

IX. NOTATKI O PRZYJĘCIU  
I SKREŚLENIU Z EWIDENCJI

56-6-66  
R. KOSZAROWSKIE  
Kop. uch. Rady U. Radom  
1939  
AK  
1945  
(-) STOBIECKI

Przyjęcie	Skreślenie

I/2/12  
Przyjęcie

Skreślenie

Przyjęcie

Skreślenie

Przyjęcie

Skreślenie

WOJSKO POLSKIE  
2 Warszawska "Czerwonego Sztandaru"  
Dywizja Piechoty im.H.Dąbrowskiego

I/2/43

W Y C I A Ć z Rozkazu Nr.060

Dnia 22.05.1945r. Miejsce postoju

Za dobre zachowanie się, wysoką dyscyplinę wojskową, i sumienne wykonywanie swoich obowiązków służbowych - nadaję stopnie

S i e r z a n t a

ID. kapral PAWŁOWICZ Anna z Sam.Komp.Łączności

Szef Sztabu 2 Warsz."Czerw.  
Sztandaru"Dywizji Piechoty

D-ca 2 Warsz."Czerwonego Sztandaru  
Dywizji Piech.im.H.Dąbrowskiego

/USZPALEWICZ - płk./

/SURZYC - płk.dypl./

Za zgodność:

Szef Kancelarii Sam.Kompanii Łączności  
2 Warsz."Czerwonego Sztandaru"Dyw.Piech



PRZEZDZIECKI - ppor./

D/2/14

CHARAKTERYSTYKA SŁUŻBOWA

na st. telefonistkę sztabowej baterii 2 PALu 2 Warszawskiej odznaczonej krzyżem "GRUNWALDU III kl." i orderem "CZERWONEGO SZTANDARU" Dywizji Piechoty im. H. Dąbrowskiego Ogniomistrza Pawłowicz Anny c. Aleksandra.

Urodzona 1925r. we wsi Wólka Sobierzyńska pow. Garwolin woj. Lubelskie. Polka.  
Wykształcenie 7 kl. szk. powsz.  
w Wojsku Radzieckim od 10 sierpnia 1943 r. do 20 lutego 1946 r.  
Raziona nie służywana nie była .

Na stanowisku St. telefonistki sztabowej baterii od 15 sierpnia 1943

Ogniomistrz Pawłowicz za czas swej służby w Sztabowej baterii wykazała siebie zdolną inicjatywną telefonistką. Niejednokrotnie w ciężkich frontowych warunkach, pod ostrzałem, nawiązywała łączność i usuwała wszystkie uszkodzenia, umiejętnie kierując swymi podwładnymi podtrzymywała nieprzerwanu łączność. Jest zdyscyplinowanym karnym podoficerem, służy przykładem dla swych kolegów i podwładnych. Za dobre zachowanie się i wywiązywanie się ze swych obowiązków niejednokrotnie otrzymywała pochwały. Korzysta z autorytetu swych przełożonych i podwładnych. Kandyduje się na kierownicze stanowisko.

ZAST.DOWODCY SZTAB.BATERII  
DO SPR. POL. WYCH.

*Nowicki*  
/ NOWICKI - Chor. /



DOWODCA SZTABOWEJ BATERII  
2 PALu

*Szadłowski*  
/ SZADŁOWSKI - Por. /

12. p. o. n. i. c. 3. g. o. o. l. o. j. a 1944 r.  
I/2/15

Województwo Łódzkie

Wskazuję następującego świadka: Jan Kowalski  
Zawieszony przez sądy, z wyjątkiem Jan Kowalski  
Wskazuję dowódcę i kuzynów Jan Kowalski - Jan Kowalski  
Wskazuję podoficera Jan Kowalski i Jan Kowalski  
Wskazuję oficera Jan Kowalski, Jan Kowalski z Jan Kowalski  
Wskazuję się już Jan Kowalski Jan Kowalski  
Wskazuję, że Jan Kowalski Jan Kowalski  
Wskazuję Jan Kowalski Jan Kowalski

Jan Kowalski  
Jan Kowalski

1944  
Dziękuję  
Jan Kowalski



27.10.44r.

I/2/46

Droga Mateczko.

Posyłam Wam papier tylko piżemie  
piżemie proszę Was moemo

Zdrowa jestem i dobre mi  
nawrocie. Co tuż Was moemo

moemo kochajcie Wasza córka

Flamig

(z franka.)



## II Materiały uzupełniające relację Wspomnienia

- Anna Szelewicz z d. Pawłowicz  
Opis w jaki sposób dostała się do wojska, podpis b.d. (1969)  
mps. Kopia K. 7 s. 1-7
- Radomin - A. Szelewicz, podpis własnoręczny b.d.  
rkps oryg K. 2, s. 8-9
- Aoleka Żurawska - Szelewicz Anna z d. Pawłowicz b.d.  
mps. oryg. K. 2 s. 10-11
- Anna Elżbieta Szelewicz z d. Pawłowicz „Z Trkucka do Łaby”  
[w:] Kobiety - żołnierze 1 i 2 Armii WP, biografie i wspomnienia  
pod redakcją M. Wójcik, Lublin 2010 s. 259-294, fot.  
mps. ksero, K. 36, s. 12-47
- J. Rewkiewicz - Frontowa miłość (Henka Szelewicz i Ludgard)  
Wycinek prasowy [w:] Żołnierze Wolności, Nr 117, 1974, 17-18v

10-32  
TH  
Anna Szelewicz nazwisko panięskie Pawłowicz

#### 4. Krótki opis w jaki sposób dostała się Koleżanka do wojska

W 1940 r. wraz z rodzeństwem zostałam wywieziona na Syberię w rejon Tajszetu, posesiołek Kwitok, niedaleko Irkucka.

Wiosną 1943 r. przyjechała komisja poborowa składająca się z lekarzy wszystkich specjalności. Na komisję wezwano prawie wszystkie dziewczęta, które ukończyły 17 rok życia. Po gruntownym przebadaniu nas /ja otrzymałam grupę "A"/ kazano nam czekać na "powiestki" z RKU Tajszet. Byłam ogromnie zadowolona, nie umiałam o niczym innym myśleć tylko o tym, aby jak najprędzej dostać się do wojska. Tylko moja mama nie była zadowolona, bo już w 1942 roku odprowadziła mego brata do wojska /Armia gen. Andersa/. Podniecenie było ogromne. Na razie jednak pracowałam na "szyrpotrebie" jako "stanocznik" robiąc narty dla frontu.

Zaczęły się pierwsze sianokosy. Nasz zakład wyjechał w tajgę, Praca była bardzo ciężka dla dziewcząt: koszenie, grabienie, ustawianie siana w kopy, jednym słowem, ciężko, ale myśli moje zawsze powracały do jednej sprawy: czy nie zapomnieli o nas.

Cudny zachód słońca, odpoczywamy po pracy i nagle zjawia się chłopak na koniu, wyjmując kartkę papieru, i wyczytuje nazwiska kilku dziewcząt w tym i moje. Mamy stawić się jeszcze dzisiaj na 5 birży. O godz. 19,00 wyjazd do wojska. Prysło zmęczenie, podniecenie było tak wielkie, że trudno je opisać, ale kiedy przyszło się żegnać z koleżankami, do których szczęście <sup>się</sup> nie uśmiechnęło, polały się łzy. Do domu przybiegłam, gdy było już ciemno. Na naszym posesiołku wszyscy mówili tylko o jednym: dziewczęta wyjeżdżają do wojska.

Trudno opisać rozpacz mojej matki, która bez słowa szyła nam /moja siostra też została powołana/ worki jako plecaki, wykupiła chleb na kartki i przyszła chwila kiedy trzeba się było wybrać na 5 birżę, gdzie był podstawiony pociąg.

Mama wzięła nas za rękę, jak w dzieciństwie i wyszliśmy z domu. Po drodze mama nie do nas nie mówiła i my również milczałyśmy, ale kiedy stanęliśmy na rampie i trzeba było wsiadać do wagonów, pożegnanie okazało się po stokroć tragiczniejsze niż sobie wyobrażałam. Gwizd lokomotywy i przeraźliwy krzyk mojej mamy "nie puszczę" długo dźwięczał mi w uszach. Ale czy byłam w stanie zrozumieć ją wtedy - nie. Weszliśmy do wagonu, pociąg ruszył, zaśpiewałyśmy pierwsze słowa pieśni "Nie rzucim ziemi skąd..." i rozległ się jeden ogromny szloch matek na peronie i nasz w wagonie; po chwili zaległa cisza. O czym myślałam - nie umiem powiedzieć.

Po niespełna 2 dniach byliśmy na zgrupowaniu w Irkucku. Tam dołączyły koleżanki z innych miejscowości i wielki transport z Irkucka ruszył w drogę - do Moskwy.

Dziwowo. Była piękna pogoda, wysiadliśmy z wagonu towarowego ze zbożnymi kośćmi. Spałyśmy przecież na deskach bez odrobiny siana, koca czy poduszki. Jesteśmy na miejscu. I co dalej? Ruszyliśmy w stronę Oki. Piaszczysty brzeg, małe sosienki i tak od razu zrobiło się swojsko - rzeka jak Wisła chociaż tak daleko do niej. Kazano nam wsiąść na prom, na którym stał ~~wielki~~ ogromny czołg. Znalazłam się na wielkim placu w Sielcach. Koło klubu stał długi stół, a przy nim oficerowie rozdawali przydziały. Ja chciałam otrzymać skierowanie do kasyna /byłam wiecznie głodna i chciałam się dobrze najeść/, potem do teatru, ale moja siostra Marysia sprowadziła mnie na ziemię - przecież chciałam walczyć o wyzwolenie Ojczyzny, a nie garki zmywać. Dostałam przydział do artylerii, ale co to jest artyleria nie umiałam sobie wyobrazić.

Musiałam się rozstać z siostrą, którą skierowano do Batalionu Kobiecego. Zostałam sama. Z workiem na plecach, w krótkiej spódnicy, z warkoczami wkroczyłam do tej artylerii. Szpaler dział, który zobaczyłam, zrobił na mnie ogromne wrażenie.

I tak znalazłam się w swojej jednostce tzn. w 2 -PALu. Szkolenie nie rozpoczęło się od razu. Najpierw kwarantanna jeszcze w cywilnych ubraniach. Byłam zagubiona w nowym miejscu, chociaż była ze mną koleżanka z Syberii - Joanna Dobrowolska, ale i ona nie wiedziała co to jest wojsko i jaką rolę będziemy w nim spełniać. Zaczęło się nieciekawie. Przebieranie kartofli nie było dla nas zajęciem czarującym, ale nowo formująca się jednostka potrzebowała ludzi do różnych prac. Przyszedł dzień kiedy kilka moich koleżanek otrzymało już mundury. Patrzyłam na nie z zazdrością. Wkrótce i do mnie uśmiechnął się los. Szef naszej baterii ogn. Biały zawołał mnie do siebie, kazał mi zabrać z magazynu umundurowanie i iść z nim do wsi Sielce do bani. Bania był to dość okazały czerwony budynek. Biały skrzył gazetę, zapalił ją i kazał mi się wymyć a przedtem wyjąć z kieszeni wszystkie dokumenty. Zrobiłam to i zaczęłam się myć. Po umyciu się zaczęłam się przebierać - to było okropne - troki od kalesonów wychodziły mi przez rozporek w spodniach, bluza /gimnastiorka/ była o kilka numerów za duża, prawie jak sukienka, ale uporałam się z tym szybko. Butów nie dostałam - jeszcze ich nie wyfasowano. Przeraziłam się. W mundurze a boso, moje cywilne ubranie wraz z pantofelkami łowickimi już spłonęło w piecu czerwonej bani. Zgnębiona, po rozmokłej leśnej drodze doszłam ze swoim szefem do jednostki.

Zamieszkałyśmy w namiotach. Rano pobudka - a ja bosą. Bateria idzie na śniadanie - a ja w ostatniej czwórce z kociółkiem w ręku, z dyndającymi trokami od kalesonów. Szłam zrozpaczona. Trwało to kilka dni. Skierowano mnie do łączności. Kurs podoficerów politycznych skończyłam z wynikiem dobrym. Otrzymałam stopień kaprała. Z troczków od kalesonów uszyłam sobie belki. Widziała je nie patrząc na nie.

Wiele różnych przygód, które dziś wydają mi się śmieszne a wtedy były problemem.

Za zjedzenie zupy szefa baterii musiałam myć podłogę w ziemiance siekierą, w "stajni" czyściłam konie, których się okropnie bałam, prowadziłam je do pojenia do Oki i kiedyś, gdy koń się wspierał się pod górę zsunęłam się po ogonie z konia. Chłopcy śmiali się - Hanka, koń ci się skończył.

Prąłam bieliznę przez miesiąc w pralni, która mieściła się w ziemiance. Pary było tyle, że nie widziałam Joasi, która prąła wraz ze mną, Wigilię spędziłam na służbie w koniuszni. Płakałam, konie gryzły żłoby, bałam się. Skulona na sianie widziałam wigilię w domu w Polsce. Wyjazd na front. Zima - mróz, jedziemy transportem na Smoleńszczyznę. W Smoleńsku - bombardowanie dworca, wszędzie płomienie, rozszalały uciekający tłum. Byłam już pełnosprawnym żołnierzem. Centralę "Zumerek" obsługiwałam bez żadnych trudności.

Szkolenie odbywało się na każdym postoju. Ze Smoleńska jechaliśmy na Ukrainę do Berdyczowa. Z Berdyczowa do Kiwerc. Nasza jednostka rozlokowała się w pięknych lasach. Pod koniec czerwca wymarsz na front. Lato Cudowny las. Poziomki, chce się żyć i cieszyć tym wszystkim co żyje. W nocy wymarsz jednostki na linię frontu nad Bug do miejscowości Turnia.

Tu spotyka mnie największe przeżycie. Zatrzymaliśmy się w lesie 8 km od frontu. Szef sztabu 2-PALu mjr Łańcut zarządził zbiórkę i oznajmił, że znajdujemy się już na froncie i kto nie wykona rozkazu odpowiemy tym - ręką dotknął kabury pistoletu. Rozkazał zdjąć czapki włożyć hełmy, okopać się i pisać listy pożegnalne do rodzin. Okopałam się, rozłożyłam kawałek papieru i zaczęłam pisać list do mojej mamy. Pisałam do niej że się boję, że chcę żyć, a jeżeli zginę, żeby nie płakała bo tak trzeba itp. płacząc przy tym tak mocno i szczerze. Płakałam nie tylko ja. Obok starsi panowie jak Jan Grom, Lech Janiszyn, Sosnowski też ocierali dłonią mokre oczy nie od deszczu lecz od łez. Padł rozkaz - wsiadać do samochodów. Wsiadłam z kilkunastoma chłopcami na samochód - ruszyliśmy, nikt do nikogo się nie odezwał. Jan Lech przycisnął mnie do siebie i szepnął - Haniu daj adres twojej mamy. Podałam. W mroku zobaczyłam twarze moich kolegów.

Były posępne, zamysłone, nieobecne. Front - transzeje, ziemianki. Rozlokowałam się z centralą w jednej z nich. Stale jednak ciekawiło mnie gdzie jest ten front, jak wygląda. Przecież to już nie manewry tylko prawdziwa wojna. Nad ranem rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie. Mnie wyznaczono na centralę. Byłam skupiona, zdawałam sobie sprawę z wagi mojej funkcji, bo łączność to nerw wojny.

Godzina "0" - rozpoczęło się. To trzeba przeżyć, usłyszeć bo opisać się nie da. Niebo rozdarło się, nie było słychać poszczególnych wystrzałów. To było piekło na ziemi przez 2 godziny. Po zakończeniu przygotowania artyleryjskiego koledzy wyciągnęli mnie spod kocy i płaszczy z ziemianki prawie nieprzytomną. Szłam transzeją obijając się. Chciałam położyć się odpościć, ale trzeba było zwijać linię telefoniczną i iść dalej. Wtedy spostrzegłam, że nie mam ani plecaka ani płaszcza i kociolka. Nie - tylko karabin, gaz-maszkę i hełm na głowie. Przypomniałam sobie, że to wszystko zostawiłam 8 km od frontu. Pobiegłam do szefa prosząc go o motocykl. Chciałam pojechać i zabrać swoje rzeczy, bo przecież to był mój cały majątek wojskowy. Pojechałam, ale co to była za jazda - pod prąd, wszystkie samochody, czołgi, wozy w jedną stronę, a ja biedna po rozjeżdżonej drodze pędziłam na miejsce, gdzie został mój cały majątek. Dobrzełam. Pod krzakami gdzie pisałam list leżał mój plecak, płaszczyk a w kocieku niedojedzona zupa. Byłam szczęśliwa, ale w tym miejscu rozlokowany był sztab armii; chłopcy krzyczą - ej, czarna, co ty tam zabierasz. Pozwolili mi zabrać moje rzeczy dopiero wtedy, gdy im powiedziałam co mam w plecaku. Do swoich wróciłam, gdy odjeżdżała ostatnia kuchnia doczepiona do samochodu.

Spalona, cuchnąca prochem ziemia i pierwsi zabici żołnierze zrobili na mnie okropne wrażenie. Pierwsza noc w niemieckim "blindarzu" /schronie/ Siedzę na centrali. Chłopcy położyli się spać, cisza dźwięczy w uszach złowrogo. Bałam się, że jakiś Niemiec pociągnie z automatu. Poruszyłam się tak gwałtownie, że śpiący obok mnie Heniek Czerepak obudził się, a za nim reszta. Byłam zadawolona, czułam ich rozmowy, do zmiany powtarzałam to kilkakrotnie, ale nie przyznałam się, że strach mnie do tego zmusił.

Forsowanie Bugu nie pamiętam, ale powitanie ziemi ojczystej nie zapomnę nigdy. Całowaliśmy ją rosząc łzami. Leż nikt nie umiał powstrzymać. Puławy - tu usnęłam na centrali. Szarpano mnie, a ja z maniackim uporem powtarzałam, że nie śpię. *Kontuzjowana przy sustytucie w Rudawach*

Lublin - spontaniczne powitanie naszego wojska przez ludność. Wieś Osiembory. Rocznica święta naszej jednostki; w uroczystościach uczestniczył gen. Berling.

Wymarsz do płynącej Warszawy. Widok był okropny. Centrala na Radzymińskiej w budynku dawnej centrali koło kina "Czarny ptak".

Rembertów - zostaje oddelegowana do Samodzielnej Kompanii Łączności. Musiała się pożegnać z kolegami i miłym mi Ludgardem.

Rozstanie z kolegami, z którymi po raz pierwszy szło się do boju jest bardzo trudne. Nie łatwo jest przyzwyczaić się do nowych znajomych i koleżanek, zwłaszcza, że dotychczas byłam tylko wśród chłopców. Front ruszył na Warszawę. Już nie samochodem, ale piechotą z bębniami kabla, na plecach karabin i plecak. Tak szłam zdobywać Warszawę. Mróz okropny, noc gwiaździsta, na chwilę zatrzymaliśmy się w leśniczówce by potem ruszyć na przeprawę... Wyznaczono mnie, abym ciągnęła linie za d-cą sztabu naszej 2 dywizji.

Rankiem przez Łowianki, Bielany przedostawaliśmy się na Żoliborz. Tego widoku nie zapomnę - wymarłe miasto, a raczej ogromne zwały gruzów. Z okien ocalałych domów wydobywały się jęzory ognia. Cisza, przerażająca cisza. Rozlokowaliśmy się na ul. gen. Bajkacza w piwnicy jednego z domów. Na Żoliborzu mieszkała moja ciotka. Chciałam się dowiedzieć, gdzie jest Plac Wilsona, ale nie miałam kogo się zapytać. Po chwili z gruzów wyłonił się mężczyzna, wystraszony dotykał mnie i z oczu zaczęły mu spływać ogromne łzy. Nie wstydził się - szlochał. Pokazał mi ten dom, poszłam do mieszkania ciotki. W progu gruz, przecisnąłam się do środka, na podłodze leżały zdjęcia, na łóżku szlafrok, w szafie - bielizna jak gdyby dopiero wyszli. Tylko okien nie było, drzwi otwarte i okropny bałagan. Wzięłam kilka zdjęć swoich bliskich, ręcznik i saszetkę z chusteczkami do nosa. Na ścianie w pokoju napisałam czerwoną kredką "Manka Pawłowicz, piszcie na adres poczty polowej 16186".

Ruszyliśmy dalej. Do Brześcia Kujawskiego i Inowrocławia. Zatrzymaliśmy się w budynku dawnego obozu - mróz. Zmęczone i głodne skuliłyśmy się na pryzkach. Wtedy przyszły dwie kobiety. Gdy nas spostrzegły ubłagały szefa, aby pozwolił nam zanoceować u nich w domu naprzeciwko tego baraku. Szef zgodził się.

Uradowane znalazłyśmy się ze Stenią w mieszkaniu w wili, na piętrze. Gienia i Janka - na parterze. Nasza gospodyni mieszkała z córką Zuzanną. Był tam też jakiś młody człowiek.

Poczęstowano nas obiadem, było ciepło i chciało mi się spać. Ułożono nas spać do łóżek, w których pościel raziła bielą. Kobieta kazała nam się rozebrać w małej wydzielonej z pokoju kuchni. Na podłodze stała blaszana balia z wodą do kąpieli. Wmyte, w jedwabnych koszulkach nocnych zapadliśmy się w pościeli. Młody człowiek siedział na poręczu łóżek i grał na skrzypcach.

Rano rozległ się straszny łomot u drzwi. Szef krzyczy a gospodyni ucisza go słowami "proszę pana, proszę ciszej, dziewczynki jeszcze śpią". W tym domu te słowa miały sens, bo za oknem wojna...

Ubrałyśmy się w czystą wyprasowaną bieliznę i mundury, wzięłyśmy wyładowane czystą bielizną plecaki i wyszłyśmy a raczej wybiegłyśmy z domu. Gdy stałyśmy już w szeregu ta urocza kobieta wybiegła z buteleczką soku malinowego bo ja okropnie w nocy kasłałam.

Bydgoszcz - część nocy spędziliśmy w pustym pokoju a potem dalej na dawne tereny niemieckie. Grossabin, leśniczówka na której wypisane były słowa "Za gruzы Warszawy pomścimy gruzami Berlin!"

Zabezpieczamy walczące jednostki 3 DP na Wale Pomorskim. Niemcy przerwali kanał, niesamowita kanonada, w lasku zginęła masa żołnierzy naszego zwiadu. Kamień Pomorski i dalej kierunek Berlin, tylko do przedmieść. Łaba - spotkanie z żołnierzami amerykańskimi. Wymiana papierosów, my częstowaliśmy naszymi skrętami, oni swoimi wykwinnymi. Cudowna pogoda, kwitnące wiśnie, wszystko budzi się do życia. My zmęczeni u kresi sił. 8 maja d-ca kompanii kpt. Danielski wydaje rozkaz - nie rozwijamy centrali. W samochodzie r"adczistów" przez mikrofon słychać słowa kapitulacja. Czy można się było wtedy cieszyć całym sobą - nie. Byłyśmy zmęczone, chciałyśmy się umyć, zjeść i odpocząć. Dopiero po chwili radość zaczęła dochodzić do naszej świadomości. Już koniec wojny! 9 maja kiedy ogłoszono oficjalnie koniec wojny siedziałam na centrali w pięknej wsi. Gałąź kwitnącej czereśni wypełniała okno. Za oknem strzelanina nie do opisania, śmiechy, żołnierze śpiewają.

Przenoszą mnie do 2 PAŁu. Znów potągania z kolegami, a szczególnie z Wackiem Maczanem, który okazał mi tyle serca.

Cottbus - pierwszy po wojnie postój. Koźle - święto naszej jednostki. Rańdom - w 1946 r. demobilizacja i co dalej?

W 1946 r. wyszłam za mąż za Ludgarda Szelewicza, wkrótce przeniesiono nas do Giżycka. W 1947 r. urodziłam córkę Wandę.

W Giżycku poznałam tow. Bronisławę Bożalek - bardzo ciętawa postać. Była przewodniczącą Ligi Kobiet. Trudno mi było żyć tylko pracą domową, tęskniłam za bardziej intensywnym życiem, bo ciało raz puszczone w ruch nie może się zatrzymać. I tak już w listopadzie 47 byłam członkiem Ligi Kobiet. Pracowałam jako przewodnicząca komisji społecznej. Na ziemiach odzyskanych było wiele pracy. Organizowałam koła gospodyń wiejskich, wykrywałam analfabetyzm, jeździłam z ekipą lekarzy po wsiach wykrywając gruźlicę, prostytucję, która w tych czasach rozwijała się zastęszajaco.



Zorganizowałaam LK w jednostce, którą mąż dowodził. Jednym słowem, polknęłam bakcyl pracy społecznej. Lata 1948-53 to lata mojej ciężkiej choroby - gruźlicy. Leżałam w sanatorium w Otwocku, bez przerwy dwa lata, a potem z niewielkimi przerwami. W tym czasie męśa przenoszą do Warszawy, potem do Grudziąca. Tam znów pracuję w LK. Córka poszła do szkoły a mnie wybierają przew. Komitetu Rodzicielskiego. Przez 8 lat pracy w Komitecie zrobiliśny wiele, otrzymałam dyplom uznania z Wyzd. Oświaty. W 1955 urodziłam syna Sławka. W 1963 przenoszą nas do Warszawy. Pracuję w kom. rodz. u córki w szkole. Zaczynam myśleć o swoim wykształceniu. Zdaję egzamin do Technikum Ekonomicznego. Zostaję przyjęta. Na pierwszym zebraniu wybrano mnie do samorządu szkolnego jako kulturalno-oświatową, w semestrze - starostą. W 1969 r. podejmuję pracę w COPI MON. Jak tu sobie poradzić. I tak zaczyna się intensywna praca zawodowa, społeczna i nauka. A przecież są dzieci, córka na studiach, syn w gimnazjum, trzeba i z nimi być, prowadzić dom. 5 lat technikum to sen, koszmar, po trzy godz. snu. Jedynym cudownym przyjacielem jest mój mąż. Wspaniały, wyrozumiały, pomaga mi w prowadzeniu domu, przygotowuje do egzaminów semestralnych. Zajmuje się dziećmi. Mam cudowne dzieci, uczą się dobrze. Moje egzaminy końcowe były wyczerpujące. Udało się. ~~✂~~  
Córka moja skończyła studia, pracuje w AGPOL-u /wydawnictwa WHEZ/ jako redaktor. Wyszła za mąż za inżyniera. Czekają na mieszkanie. Syn Sławek jest studentem III roku SGPiS na wydziale handlu wewnętrznego. Dużo działa społecznie. Mąż mój jest już na emeryturze.  
Ja pracuję w Sztabie Generalnym jako kontroler w COPI. Jestem sekretarzem ZZ w pracy. Społeczne funkcje to: sekretarz komisji młodzieżowej przy Zarz. Okręgu ZECWiD, członek Rady Kobiet z ramienia Klubu Kombatanów II Dywizji. Jestem prelegentem, mam wiele spotkań z młodzieżą, w kołach rodzin wojskowych, LK Wojska.  
Posiadane odznaczenia to: medale pamiątkowe Za Warszawę, Odrę i Nysę, Za Berlin, Zwycięstwo, brązowy medal Zasłużony na Polu Chwały, Za Obrońność Kraju oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Hanka Szeleniec

Radomir

1

W 1946 r zostałam zdemobilizowana, II/8  
i w tym, że wolum wyszłam za męża za długiego  
szerebnica ofic. WoP. W 1947 r męża przenoszę do  
Opoczyna. Urodziłam córkę w październiku 1947 r  
i zarejestram pracować społecznie, a pracy na ziemiach  
odrzutych było mało. Wyszłam się do pracy w Lidze  
Kobiet, przydzielono mi komisję społeczną, do której  
wchodziło: wykonywanie gminnej, aalfabetyzacji, pro-  
fektnej, organizowanie pomocy biednym, samotnym  
osobom ludzkom. Organizowałam Kółka Oporu  
Wojenne w terenie, jednym słowem praca społeczna  
poświęcałam mi się tak bardzo, że zapomniałam  
zupełnie o swoim zdrowiu. Chodziłam, kasałam ezulam  
się chorować, w rezultacie wyjazdowałam w sanator-  
jum przeciwgruczołowym w Otwocku. Kuracja trwa-  
ła 3 lata, córkę moją wandecką zajął się moja  
wspaniała mama. Na kurację do Otwocka przyje-  
żdżała wspaniała P, podharowa reżyserka teatralna.  
Zorganizowała zespół i naturalnie ja w tym zespole  
wzięłam udział. Po wyjściu z sanatorium zaraz za-  
rejestram pracę w Ministerstwie <sup>Przemysłu</sup> Przemysłowym w Dep.  
Tech. Przemysłowej a potem w Gab. Ministrze jako  
inspektor. Mąż w 1953 r przenoszę do Gmazyńca  
tam zarejestram pracować w Komitecie Rodzicielskim  
gdzie uczyła się moja córka. W 1955 r urodziłam  
syna. W 1963 r przenoszę mego męża do Warszawy.  
Zaczynam pracę w Sztabie Generalnym WoP, i  
podlegnięć naukę w Tech. Ekonomicznym. 34

11/9

Na pierwszym zebraniu zostaje wybrana do samorządu Technikum i zostają przewodniczącą Komisji Oświatowej a to semestralne starostką, którą pełniłam przez 5 lat. Dzięki memu wspomnianemu i hołubnemu mężowi, który pomaga mi w prowadzeniu domu normalnego i to wyjątkowo pomaga mi w uczeniu. Kończąc naukę 5 lat to hołubnie myślę że zażniemy normalnie żyć prowadzić normalny dom. Szczęście trwało krótko mąż, wspomniany hołubny rodzinny i życzliwy przyjaciel frontowy chorował ciężko chorował umiera. Zostaje sama. Córka wyjechała za mężem, syn hołubny student. Po osiągnięciu 55 lat przechodzę na rentę, po mężu i podejmuję pracę jako sekretarka zar. Dziel. z K. Ochota. Po 2,5 roku zwalniam się i przechodzę do innej pracy gdzie więcej płacę t.j. 10 mln. Zdrowia a potem w Kancelarii Prezydenta RP. jako asystent. Już mam 70 lat dostaje wypowiedzenie. Przeskakuje pracować. Syn żeni się ma już swoją rodzinę. Mam wspomnianą dajcie i cudownych 3-ech wnuczków Pawła, Janka i Jurka. Jestem z moich dajcie dumna i z wnuczków też. Moje zdrowie szwankuje ale nie dają się pracować społecznie. Szczęście, że nie dane mi było zstąpić nigdzie wraz z mężem który hołubnie mnie i dzieci. Moje życie jak niedoczytana cudowna powieść, w najbardziej cudownym momencie przerwana i tego b. żałuję. Samotność jest straszna.

Janina Szeleniec

11/10

**Szelewicz Anna** z.d. Pawłowicz, ur. 1925 r., W.P., radiotelefonistka 2-o pułku artylerii lekkiej, samodzielnej kompanii łączności, 2. Warszawskiej Dywizji Piechoty im. Henryka Dąbrowskiego, pracownik umysłowy.

Urodziła się 12 lutego 1925 r. w Wulce Sobierzyńskiej (woj. kieleckie) jako córka Aleksandra Pawłowicza i Elżbiety z.d. Polberg. Ojciec leśnik do 1939 r. administrował dwoma majątkami ziemskimi księżnej Mirskiej-Górskiej, zaś matka zajmowała się wychowaniem sześciorga dzieci i prowadzeniem domu. Do wybuchu wojny rodzina Pawłowiczów mieszkała w Józefinie k. Łap na Białostoczczyźnie. Hania była trzecią spośród rodzeństwa po Marysi, Zbyszku, przed zmarłym przedwcześnie Jasiem oraz dużo młodszymi Elżunią i Tereską.

Po zdaniu egzaminu do gimnazjum w Białymstoku, Hani nie dane było rozpocząć nauki, nadszedł bowiem wrzesień 1939, a z nim wojna. Po wkroczeniu Armii Czerwonej już w 1939 r. ojciec i brat Zbyszek zostali aresztowani przez NKWD. Brat po miesiącu powrócił do domu, natomiast ojciec skazany został na 8 lat więzienia. 10 lutego 1940 r. pod nieobecność matki, Hania wraz z rodzeństwem i babcią z nakazu władz sowieckich została zesłana do miejscowości Knitok w obwodzie irkuckim na Syberii. Warunki w jakich odbyła się trwająca kilka tygodni podróż były niewyobrażalnie trudne. Starsze rodzeństwo czyniło wysiłki aby przed śmiercią uratować w tych warunkach dwoje najmłodszych siostrzyczek, 2-letnią Terenię i 4-letnią Elżunię.

W miejscu osiedlenia w maju 1940 r. zmarła na czerwonkę Elżunia. Ciężko zachorowała najmłodsza Terenia i nieomal otarła się o śmierć. W pierwszych dniach 1940 r. matka usiłowała nawiązać kontakt z aresztowanym mężem. W dniu 9 lutego udała się do Białegostoku z nadzieją dostarczenia aresztowanemu mężowi paczki żywnościowej, niestety to się nie udało. Kiedy na drugi dzień tj. 10 lutego wróciła do domu nie zastała już dzieci. Przerazona tym stanem rzeczy udała się do miejscowego NKWD prosząc usilnie o połączenie jej z dziećmi. Kontakt z dziećmi nie uzyskała ale za to została aresztowana i zesłana do łagru w gorkowskiej obłasti. Po pokonaniu niewyobrażalnych trudności i przeszkód dotarła w sierpniu 1941 r. do miejscowości gdzie przebywały dzieci. Z wielkim smutkiem przyjęła wiadomość o śmierci Elżuni. Odnalezienie rodziny udało się ojcu, kiedy wyszedł z więzienia.

Oboje rodzice Hani z małą Terenią wrócili do Polski w 1946 r. . Babcia i Elżunia spoczęły na zawsze na ziemi syberyjskiej.

Hanna na zesłaniu bardzo ciężko pracowała w tajdze przy wyrębie drzewa, ładowaniu go na wagony kolejowe oraz przy spławianiu i obróbce tego drewna na podkłady kolejowe. Była zatrudniona przy budowie fabryki terpentyny. Oprócz ciężkiej pracy dokuczał Hani głód i syberyjski mróz.

Jesienią 1941 r. Zbyszek mający wówczas 18 lat dostał się do Armii Andersa ale umarł na tyfus nim Armia wyruszyła na Bliski Wschód.

Hania wraz z siostrą Marysią zostały w sierpniu 1943 r. zmobilizowane do Armii Berlinga. Marysia po krótkim pobycie w Batalionie Kobięcym im. E. Plater skierowana została do Sądu Polowego w charakterze protokolantki, dzięki temu, że jeszcze przed wybuchem wojny 39 r. <sup>uzyskała</sup> posiadała średnie wykształcenie.

Hania zaś swój żołnierski los rozpoczęła w baterii 2-o pułku artylerii lekkiej, 2. Warszawskiej Dywizji Piechoty. Z tą dywizją Hania, uczestnicząc w bojach jako radiotelefonistka, doszła aż do Łaby. Jeszcze w Sielcach została przeszkolona w zakresie łączności i wyróżniona awansem do stopnia kaprała. W lipcu PAL wyruszył w kierunku granic polskich. W dniach od 18 do 21 lipca 1944 r. w składzie zgromadzenia artylerii 1 Armii PAL brał udział w zabezpieczeniu natarcia dywizji piechoty w rejonie Turic nad Bugiem. Hania w tych walkach przeszła chrzest bojowy. Po raz pierwszy jako telefonistka przekazywała dane do ogniowych pozycji dywizjonów i baterii. Dalszym etapem 2. DP i PAL

117/11

były walki pod Dęblinem i Puławami w celu zdobycia przyczółków na zachodnim brzegu Wisły. Walki były bardzo ciężkie i pochłonęły wiele ofiar. Hania została kontuzjowana na skutek wybuchu pocisku nieprzyjaciela, ale swoich zadań radiotelefonistki nie przerwała. W czasie walk zginęła bohatersko młodziutka sanitariuszka Gabriela Wojciechowska. Jej śmierć bardzo przeżyła Hania, bowiem łączył je dramat wspólnego pobytu na zesłaniu.

Ciężkie kolejne walki 2 DP stoczyła na Przyczółku warecko-magnuszewskim trwające od 17 sierpnia do 11 września 1944 r. . Hania dzień i noc pełniła służbę w centrali telefonicznej oraz naprawiała raz po raz przerywane linie telefoniczne. Po przyczółku magnuszewskim 2 DP po dokonaniu forsownego marszu podjęła walkę na przyczółkach warszawskich. Na jednym z nich na Żoliborzu doszło do częściowej współpracy bojowej Powstańców Żoliborskich z 2 DP. Prowadzone walki ~~do 16 stycznia 1945 r.~~ <sup>od 17 do 23 lutego 1945</sup> w celu udzielenia pomocy powstańcom warszawskim nie przyniosły pożądanych rezultatów, choć w tych walkach ~~zginęło 733 żołnierzy.~~ <sup>atakujący Żoliborz zostali zniszczeni.</sup>

od 17 do 23 lutego 1945  
23 września 1944r.

Do Hani w tym czasie należało przekazywanie danych ze sztabu PAL do dywizjonów. Pełniła także dyżury na punkcie obserwacyjnym w celu rozpoznania nieprzyjacielskich ruchów na lewym brzegu Wisły.

Rozkazem przełożonych z dnia 27 grudnia Hania przeniesiona została z PAL do samodzielnej kompanii łączności przy sztabie 2 DP.

Po sforsowaniu Wisły i zdobyciu z 16/17 stycznia 45 r. Warszawy rozpoczął się kolejny marsz w kierunku Wału Pomorskiego, przez Brześć Kujawski, Inowrocław i Bydgoszcz. Odległości te kompania Hani pokonywała pieszo – niejednokrotnie 30-35 km dziennie.

Podczas walk na Wale Pomorskim mimo ciężkich warunków zimowych kompania Hani z wielkim poświęceniem utrzymywała kontakt dowództwa dywizji z jednostkami na pierwszej linii. Praca Hani na centrali telefonicznej, mieszczącej się przeważnie w ziemiance, była szczególnie trudna - zwłaszcza w czasie natarcia piechoty. Nawiazywanie i naprawianie linii telefonicznej, instalowanie łączności w nowych miejscach postojów doprowadzało nieraz Hanię do wyczerpania fizycznego. Mimo to nałożone na nią obowiązki wykonywała z pełnym poświęceniem, spotykając się niejednokrotnie z pochwałami ze strony dowództwa a uznaniem ze strony kolegów. Koniec wojny Hania obchodziła nad Łabą.

W dniu 26 lutego 1946 r. Hania została zdemobilizowana. Ludgarda

W tym samym roku Hania wyszła za mąż za ~~Ludwika~~ Szelewicza, którego poznała podczas walk frontowych. Z tego związku Hania ma syna Sławka i córkę Wandę. Oboje ukończyli wyższe studia i utworzyli szczęśliwe rodziny. Z dziećmi i trzema wnukami Hania pozostaje w serdecznych stosunkach. Gdyby nie przedwczesna śmierć ukochanego męża oraz kłopoty zdrowotne Hania uważałaby się za osobę w pełni szczęśliwą i spełnioną.

Przeżycia na zesłaniu i na wojnie spowodowały poważną chorobę płuc, z którą walczyła przez wiele lat, często z pobytami w Szpitalu otwockim. Mimo to Hania ukończyła technikum ekonomiczne, pracowała zawodowo w Ministerstwie Przemysłu Maszynowego oraz w Sztabie Generalnym W.P. . W miarę swoich sił działała społecznie w ubiegłych latach na rzecz rozwoju kół gospodyń wiejskich, a aktualnie działa w środowisku kombatanckim w klubie 2 DP oraz w Zespole Kombatanek W.P. .

W 2001 r. została awansowana do stopnia porucznika w stanie spoczynku.

Adela Żurawska

*Adela Żurawska*



5/12

**Anna Elżbieta SZELEWICZ z d. Pawłowicz**

Córka Elżbiety i Aleksandra Pawłowiczów, ur. 12.02.1925 r. w Wólce Sobieszyńskiej na Lubelszczyźnie. 10 lutego 1940 r. z bratem, siostrami i babcią (bez rodziców) wywieziona na Syberię z Józefina (białostockie), gdzie ojciec był nadleśniczym. Do Polski wróciła frontową drogą jako żołnierz 2. Dywizji Piechoty 1. Armii WP. Porucznik rezerwy WP. Odznaczona wieloma medalami bojowymi, m.in.: Brązowym Medalem „Zasłużonym na Polu

Chwały”, Za Warszawę, Za Odrę, Nysę i Bałtyk, Za Berlin oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Krzyżem Zesłańców Sybiru, Medalem Czynu Frontowego. Członek Zespołu Kombatantek 1. i 2. Armii WP, prezes Klubu Żołnierzy 2. Warszawskiej Dywizji Piechoty im. J. H. Dąbrowskiego. Mieszka w Warszawie.

---

**Z Irkucka do Łaby**

Rok 1939. Pierwszy egzamin do szkoły średniej. Zdałam. Ojciec zaprosił mnie do restauracji na obiad, a potem na lody. Zaczęły się beztrioskie, wspaniałe wakacje. Przyjechała Marysia, Zbyszek, Rena z babcią z Warszawy. Od babci dostałam pierścionek z zielonym oczkiem. Dom był pełen ludzi, radosny i gwarny, tylko rodzice dziwnie zasępieni.

Minął sierpień, w sadzie dojrzały owoce. W 1937 r. ojciec posadził 130 drzew wiśni i czereśni. Między nimi sadzone były ziemniaki i posiane było zboże. Kiedy owoce dojrzewały wydeptywaliśmy w nim ścieżki, za co ojciec gniewał się.

Pod koniec sierpnia zaczęła się mobilizacja. W radiu coraz częściej mówiono o wojnie, utwierdzano nas, że jesteśmy silni, zwarci i gotowi do obrony ojczyzny. Wierzyliśmy w te słowa bezgranicznie.

Przez całe lato było tak cicho i spokojnie, a tu nagle zaczęły się dziać „wielkie sprawy”, szosą kursuje sanitarka, wozy pełne ludzi jadą na wschód.

Pewnego razu z Reną, moją siostrą cioteczną z Warszawy, w pokoju ojca rysowałyśmy lalki, ubierałyśmy je w stroje wieczorowe, rodzice byli w salonie. Słyszemy rozmowę; ojciec mówi do mamy: *Wiesz Bienia, na pewno będzie wojna, musimy uciekać, zabieram Zbyszka, gajowych i fornali, i jedziemy jednym wozem. Mama: Nie dam dziecka.*

II/13

Ojciec: *A chcesz, żeby go Niemcy zatłukli, mamy go jednego.* Przestałam rysować, weszłam do pokoju, gdzie rodzice siedzieli na otomanie. Mama oparta na ramieniu ojca płakała cichutko, co zdarzało się bardzo rzadko. Takiej sceny nie widziałam nigdy dotąd.

Ojciec mój miał usposobienie choleryka, rzadko był dla nas czuły. Miłość, ciepło rodzinne dawała nam mama, która była uosobieniem dobroci, szlachetności i serdeczności. Ludzie w czworakach nie mieli słów uznania dla mamy, wszyscy ją uwielbiali. Była śliczna, gospodarna, dobra dla wszystkich. Taką właśnie mamę dał mi los. A tak mało z nią byłam. Wszystkiemu była winna wojna.

Rankiem któregoś dnia przyszedł do nas bardzo młody oficer z dzieścioma żołnierzami. Zapytał, czy może z nimi poćwiczyć w ogrodzie. Mama zgodziła się, nakarmiła ich, bo nie mieli żadnego prowiantu. Ja z Reną podglądałyśmy ich w czasie ćwiczeń i podслуchiwałyśmy rozmowy. Innym razem, przyjechało kilku oficerów, rejestrować konie. W tych dniach mama poprosiła nas o zaklejanie szyb w oknach, tak jakoś na ukos. Było przy tym wiele śmiechu. Kiedy ma się 14 lat, jakakolwiek innowacja jest ciekawa i pobudza wyobraźnię.

Coraz więcej wozów, ludzi z tobołami przemieszczało się z miejsca na miejsce. Któregoś dnia poruszenie na szosie, krzyk, kobieta rodzi w rowie. Mama wyciągnęła coś z bieliźniarki i pobiegła. Po chwili przyniosła maleństwo. To było niesamowite.

Napięcie było coraz większe. Wszyscy już mówili o wojnie. Dla nas była to przygoda – w domu rozgardiasz, obiad nie o jednej porze. Mama poleciła mi przynieść słomę i wyłożyć nią piwnicę. Po drodze prosiłam Boga, aby już wreszcie zaczęła się ta wojna.

Rano 1. września – wstrząsająca wiadomość: dziś o godz. 4-ej Niemcy wkroczyli w obszar naszego kraju. 2-go września już bombardowali Łapy, strategiczny węzeł kolejowy i warsztaty kolejowe. Szyby w oknach trzęsły się, ale nie wypadały, bo były oklejone. W ogrodzie mnóstwo owoców, kartofle nie wykopane, pogoda przepiękna. Upał. Ojciec postanowił jednak uciec ze Zbyszkiem, gajowymi i fernalami. Zabrali tylko żywność i wieczorem wyjechali. Zostaliśmy same z mamą i babcią. Zrobiło się nagle smutno.

Trzeba było wykopać ziemniaki. Musiałyśmy wychodzić o świcie, bo samoloty latały nisko i Niemcy z karabinów maszynowych strzelali do ludzi. Wtedy zaczynało docierać do mojej świadomości, że to wojna, która zabija. Któregoś dnia wieczorem wrócił ojciec ze wszystkimi, z którymi wyjechał, ale postanowił uciekać z nami wszystkimi z domu. To było i zabawne, i tragiczne. Dwa wozy drabiniaste, jedzenia masa, beczułka masła, mnóstwo zabitych kurczaków,

II/14

świeżo upieczony chleb, taki dziwnie słodki. Jego smak czuję do dzisiaj. Usadzono na wozie Teresę, która miała 1,5 roku, Elżbietę – 3,5 roku, mnie, Zbyszka, Renę, Marysię, babcię, mamę, ojca, gospo-  
się. Konie ledwo ruszyły z miejsca. Pojechaliśmy do Turka, do majątku pp. Gawrońskich. Tam podwieczorek i dalej w drogę. Chciało mi się spać, miałam dosyć tej całej dziwnej wyprawy. Było ciemno, kiedy ruszyliśmy z Turka w stronę Pietkowa. Koło młyna spotkaliśmy komendanta policji, p. Drzazgę. Przekazał nam wiadomość z ostatniej chwili, że *Niemcy ponieśli ogromne straty, nasze wojsko dzielnie walczy z wrogiem, my zwyciężamy. Proszę wracać do domu.* Cudowna wiadomość. Z dali słychać przesuujące się wojska. Uradowani wracamy. Kładziemy się spać w ubraniach, w nie powleczonej pościeli, bo wszystko jest jeszcze w tłumokach. Chociaż jesteśmy w domu, ale jest jakoś zimno i przygnębiająco. Rano otwieramy okiennice, a na szosie w dwóch rzędach stoją niemieckie czołgi. Lufy mają skierowane na majątek Marynki. Widzę, jak nasze wojsko, kawaleria na koniach, przedzierają się z jednego lasu do drugiego. Bardzo to przeżyłam, zaczynałam rozumieć tragizm sytuacji.

Po obiedzie jechały czołgi z białymi krzyżami. Nie wiedzieliśmy co to za armia. Marysia rozłożyła encyklopedię i szukała pojazdów zmechanizowanych z takimi znakami. Niczego się nie dowiedziała. W domu stale mówiło się, że Francja i Anglia lada chwila pomogą nam w tej wojnie, to na pewno oni. Wyszliśmy z Reną do szosy i z mostku machaliśmy im na powitanie. Około 16-ej zajechały dwa motocykle. Wsiadło z nich czterech żołnierzy. W rękach trzymali granaty. Zapytali mamę po polsku, czy jest radio w domu. Mama potwierdziła, że jest i zaprowadziła ich do saloniku. Radia nie zabrali, tylko baterię. Od tej pory zerwał się kontakt ze światem. Ja i Rena dalej rysowałyśmy nasze lalki. Patrzyłyśmy na naszych wrogów. Byli wspaniale ubrani w stalowe płaszcze.

Na drugi dzień zajechał samochód z trzema oficerami. Poprosili o coś, ale nikt z nas nie znał niemieckiego. Mama posłała mnie do p. Przemorskiej, żony gajowego, pochodzącej z Poznania. Zaraz przybiegła i przetłumaczyła, że chodzi o śniadanie. Pamiętam, że prosili o śmietanę, jajka, ser, mleko, chleb i herbatę. Wychodząc z jadalni zapłacili mamie dwie marki. Zachowali się przyzwoicie.

W nocy ktoś cichutko zapukał do drzwi frontowych. Mama już przy drzwiach. To wojsko polskie prosi o jedzenie. Pytają o sytuację. Mama wynosi bochen chleba, dzban mleka i radzi, żeby szli do lasu.

Nie pamiętam, którego to było – z powtórnej ucieczki wrócił ojciec i Zbyszek. Jesteśmy szczęśliwi. Nagle w okolicy jest cisza. Nie ma



żadnego wojska. Po jakimś czasie zjawiają się Niemcy, mówią trochę po polsku. Jeden z nich powiada, że oni już idą do domu, a tu przyjdą „młode chłopcy”, bo my – „stare”. Nie robili nam ani rewizji, ani nie kradli, tylko chcieli zabić psa *Tropa*, bo ujadął na nich okropnie.

Przez około tydzień nie ma żadnej władzy, ani Niemców, ani Polaków. Kończymy kopanie kartofli rankami i wieczorami, zwozimy je do piwnicy. Wtem, z lasu od Turka, na koniach, w czerwono-czarnych papachach i futrzanych pelerynach wpadli Rosjanie na podwórko. Nie wiedzieliśmy co się dzieje. Z lasu od strony Poświętnego coś okropnie warczy, huk tak się wzmagął, jakby nadlatywał samolot. Po chwili ukazuje się czołg. Wydał nam się bardzo śmieszny. Tak 19. września wkroczyły do Józefina wojska sowieckie, bolszewicy, jak ich ojciec nazywał. I zaczęło się.

Na trzeci dzień wieczorem przyszedł p. Golde, właściciel gorzelni. Powiedział ojcu, żeby uciekał, bo będzie aresztowany. I tak się stało. Rano, kiedy Irena gotowała kaszę na mleku z ziemniakami, wpadli mężczyźni. Nie wiem, czy był wśród nich jakiś żołnierz sowiecki, zdaje się, że byli to sami Polacy z Pietkowa. Mówili o nich: *komuniści*. Byli to wyrobnicy. Zachowali się okropnie. Zrobili rewizję i kazali ojcu zbierać się, bo jest aresztowany. I mój 16-letni brat Zbyszek też. Mama błagała, żeby chociaż pozwolili ojcu i Zbyszkowi zjeść. Zgodzili się. Kiedy ojca i brata wyprowadzali, był wielki płacz i krzyk mamy, ale ich nic nie poruszyło. I to Polacy – do Polaka. W tym samym dniu mama z Teresą na rękę, Marysia, ja i Elżunia poszłyśmy do Pietkowa błagać komendanta o pomoc i dowiedzieć się za co aresztowano tatę i Zbyszka. Nigdzie nas nie wpuszczono. Zmęczone i zziębnięte wróciłyśmy do domu. Pamiętam, że uklęknęłam przed obrazem Matki Boskiej i gorąco modliłam się, aby ojca i Zbyszka wypuścili. W domu zrobiło się ponuro i jakoś cicho. Marysia musiała iść do pracy w gminie Poświętne. Chodziła też na lekcje języka rosyjskiego do księdza Idzkowskiego. Ja musiałam iść do młocki w majątku, odrzucałam widłami słomę spod maszyny. Nie umiałam tego robić, tak że po pierwszym dniu pracy miałam pęcherze na rękach, które popękały i krwawiły. Na drugi dzień posłano mnie do poganiania konia w kieracie. Tak zaczęłam, mając zaledwie 14 lat, swoje dorosłe życie.

Po kilku tygodniach od wkroczenia Rosjan, przez zieloną granicę przyszła ciotka Stefa (siostra ojca) po córkę Renę, która została u nas po wakacjach z babcią. Była w rękawiczkach, ale gdy je zdjęła zobaczyłam, że ma bardzo brudne ręce. Zapytałam, dlaczego. Powiedziała, że Rosjanie nie lubią białych rączek. Chciała zabrać trochę rzeczy, głównie ubranie swojego brata i zdjęcia rodzinne, które zostawił stry-

117/16

jek w wozowni, ale pojawił się drab z Pietkowa, który kategorycznie zabronił czegokolwiek z wozowni zabierać. Była awantura.

Po kilku dniach ciocia i Rena wyruszyły do Warszawy, która była już za granicą. Dziś wiem, jak przebiegała granica Polski po rozbiore niemiecko-rosyjskim.

Zjawili się Rosjanie. Długo oglądali nasz dom (leśniczówkę). Byliśmy już przyzwyczajeni do takich wizyt. Co wizyta, to rewizja i zabieranie z domu jedzenia, mydła i fuzji, których ojciec miał sporo, bo polował, i wszystkiego, co się podobało.

Na zasadzie: „panów nie ma” - rodzina Górskich z czworaków wprowadziła się do naszego gościnnego pokoju. Mieli gości z Warszawy i było im za ciasno. Nawet Feliks, stangret ojca, odmówił mamie urąbania drzewa. Powiedział wprost, że panów nie ma, że trzeba samemu rąbać. A przecież moja mama była taka dobra dla wszystkich w czworakach, życzliwa, pomagała we wszystkim. Jedynie Irena, nasza gosposia, pozostała z nami do końca.

Któregoś dnia zajechali przed dom Rosjanie. Przed gankiem był piękny klomb, dokoła domu śliczne rabaty kwiatów, strzyżone trawniki. Postawili samochód na połowie klombu, jakby nie było innego miejsca. Powiedzieli, że zajmują trzy pokoje od strony ogrodu. Nie pozwolili nic zabrać z pokoju ojca, bo oni nic nie ruszą. Zostałyśmy w jednym pokoju stołowym, z którego trzeba było wynieść stół, a wstawić łóżka. Było nas siedmioro; musieliśmy się jakoś pomieścić. Nasi lokatorzy rąbali drzewo w pokojach. Można sobie wyobrazić, co się w nich działo.

Miałyśmy biżuterię, którą mama zakopała w krzakach przy starej drodze, bo się bała, że ukradną. Były tam nasze złote medaliki i krzyżyk. Wiedziałam o tym tylko ja i Marysia. Pies sprowadzony przez Rosjan kopał gwałtownie w tym miejscu, ale pudełka ze złotem nie wywąchał.

Rosjanie byli u nas około półtora miesiąca, nawet zżyli się z nami. Mama ich dokarmiała. Boże Narodzenie 1939 roku przeżywali z zaciekawieniem. Byli to młodzi chłopcy 19 - 20 lat. Kiedy zaczęli się od nas wyprowadzać ładowali na samochód wszystko, co im wpadło w ręce. Najśmieszniejsze było to, że kiedy mieli odjeżdżać, poprosili mamę, żeby zobaczyła, że nie zabrali nic naszego, a na samochodzie stały nawet meble z werandy, przy których jedliśmy w lecie podwieczorki. Mama powiedziała, że naprawdę wszystko jest w porządku. Cóż mogła powiedzieć innego? Gdy odjechali, pierwsze kroki skierowała do tego krzaka, pod którym ukryte były nasze precjoza. Dziwnym trafem, pies, zamiast odgrzebywać pudełko, zasypywał je ziemią,

117

w której grzebał. Pamiętam, mama mówiła, że to dzięki świętym medalikom nie udało się niedowiarkom ukraść naszego złota. W pokojach, w których mieszkali Rosjanie, był ogromny bałagan. Bielizniarka i ojca biurko otwierane były siekierą.

Niedługo po tym nastąpiły smutne, mroźne dni. Mama stale myślała, jakby ojca odnaleźć. Chciała mu podać ciepłą bieliznę, kurtkę, skarpety, trochę jedzenia. W grudniu wieczorem ktoś zapukał do drzwi. Ku naszej radości wszedł Zbyszek. Jak był maltretowany, tylko mamie powiedział. Z ojcem widział się tylko mijając w drzwiach, kiedy jego wypuścili z przesłuchania, a ojca wprowadzali. W jednej sekundzie powiedział Zbyszkowi: „Niech cię Bóg ma w swojej opiece”. Nie wiedział wtedy, że było to ostatnie otarcie się i widzenie syna. Nigdy więcej już go nie zobaczył. Od Zbyszka dowiedzieliśmy się, że ojciec jest w Białymstoku. Boże Narodzenie było bardzo smutne. W lutym mama dostała wiadomość, że można podać ojcu paczkę do więzienia. Zdecydowała się pojechać. Zabrała najbardziej potrzebne dla niego rzeczy i 9. lutego pojechała. Paczkę odebrano, ale widzenia z ojcem nie było.

Nazajutrz, 10. lutego 1940 r. – tragiczny dzień. O 5. rano walenie kolbami w drzwi od kuchni. Krzyk: „Otwierać!” Irena otworzyła drzwi. Do mieszkania weszło pięciu mężczyzn, między nimi jeden Rosjanin w mundurze, a pozostali, to nasi, z czerwonymi opaskami na rękawach. Był wśród nich Michał Pieczór, z którym trzymałam do chrztu syna p. Książaka, brata Józefa, brata naszej niani Heleny. Rozsiedli się w pokoju na otomanie i kazali nam się ubierać, bo muszą nas przewieźć do innego miejsca, gdyż tu będzie linia frontu. Marysia powiedziała, że nigdzie nie pojedzie, bo nie ma mamusi ani taty, a bez nich się nie ruszy. Naiwna odpowiedź. Oni dobrze wiedzieli, że za pół godziny już nas w domu nie będzie. Na dworze był okropny mróz, do 30<sup>0</sup>. Irena rozpała ogień w piecu, ja się grzeję przy otwartych drzwiczkach kuchni. Ubrałam się w jedwabne pończochy, włożyłam niebieską sukienkę, sięgającą mi ledwie do kolan. Mam cienką bieliznę, szukam butów, nie znajduję, wkładam więc oficerki ojca, siostry kurtkę i gazową chustkę na głowę. Chcę wejść na strych, żeby zabrać bieliznę po praniu, ale Pieczór nie pozwala. Zabronił nam cokolwiek brać. Jedyne Rosjanin wziął Marysię za rękę, otworzył szafę i bielizniarkę, i zapytał, czy to nasze. Mieliśmy duże wiklinowe kosze. On sam zaczął ładować do nich ubrania i bieliznę. Kazał zabierać łóżka i materace. Na siłę zapakował nam materace. Zabraliśmy trochę mąki z worka, sól wsypałam do słoika, szukałam łyżek. Znalazłam sztućce. Wzięliśmy jeszcze bańkę od mleka, nie wiem tylko po co. Reszta została. Umeblowanie pięciu po-

TMB

koi, dorobek całego młodego życia rodziców, przepadły w ciągu jednej godziny. Dwuletnia Teresa, czteroletnia Elżunia i staruszka babcia (matka ojca), były jeszcze w łózkach. Zbudzone ze snu, nie wiedziały co się z nimi dzieje, a oni krzyčili: „Szybciej!” Irena ubrała dzieci i w kuchni dała im coś ciepłego do jedzenia. My nie jedliśmy nic. Sanie były już podstawione. Dwie pary. Ja jechałam ze Zbyszkiem na jednych, a Marysia z babcią i dziewczynkami na drugich. Nie chciałam wsiąść na sanie, stanęłam pod płotem i płakałam. W pewnej chwili zobaczyłam przed sobą karabin i usłyszałam: „Wsiadaj!” Usiadłam. Ludzie powychodzili z czworaków, co myśleli, kiedy widzieli że zabierają dzieci bez ojca i matki, nie wiem.

Jechaliśmy przez wieś Poświętne na stację kolejową, na której nigdy nie byłam. Stacyjka była mała. Na peronie stały wagony do przewozu bydła. Dziewczynki chciały się załatwić, ale nie pozwolono im wysiść z sań. Dopiero na tej brudnej stacyjce mogły wyjść. W zaryglowanych wagonach na ścianach był lód, zimno, w piecyku nie paliło się, bo nie było czym. Ja się dusiłam, zostało mi to uczucie do dziś, gdy nie mogę wyjść z jakiegoś pomieszczenia. Mdleję.

Pociąg ruszył, straszliwe zimno. Na środku piecyk i wyrębana dziura w podłodze z drewnianą rynną przy drzwiach. To była nasza ubikacja. Przez tę dziurę wiało w czasie jazdy tak bardzo, że nie można było w wagonie wytrzymać. Kiedy pociąg zatrzymywał się na jakiejś stacji, strażnik ze zgrzytem otwierał drzwi, my wypadaliśmy z niego, jak piłki, na głowę strażnikowi. Wszyscy jednocześnie załatwiali się. Nikt, nikogo nie wstydził się. To było okropne. Po ilości zamarzniętych odchodów na peronie, orientowaliśmy się, ile ludzi mogło już tą trasą przejechać. Na jednej ze stacji, kiedy przynieśli nam gorący posiłek (zawsze był to kapuśniak na rybie i pęczak z oliwą), naprzeciw naszego wagonu stała lokomotywa. Poprosiłam o węgiel. Dwaj starsi mężczyźni ze łzami w oczach patrzyli na mnie. Mimo, że kaleczyłam język rosyjski, oni zrozumieli. Dali niecałe wiadro. Ucieszyli się wszyscy w wagonie.

Któregoś dnia, jedna z kobiet w naszym wagonie zaczęła rodzić. Na pierwszym postoju wezwano lekarza. Przyszedł wysmarowany, z brudnymi rękami. Zabrał ją, lichy wie gdzie to było, a my pojechaliśmy dalej. W wagonie został mąż i trójka dzieci. Trudno mi opisać dramat naszej podróży. Nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą, ani jak długo będzie trwała ta jazda. Była mroźna zima. Nie myśleliśmy się, zarastaliśmy brudem i wszy po nas chodziły. Zaczęliśmy przyzwyczajać się do tej niesamowitej sytuacji. Na postojach załatwialiśmy się już bez zenady

i tylko komentowaliśmy, że z pewnością kilka transportów przed nami przejechało. Mijaliśmy góry Ural.

Już nie pamiętam, którego dnia przyjechaliśmy na stację Kwitok. Była to nasza końcowa stacja. Mróz, ciemno i głodno. Wyładowano nas, podesłano sanie i zaczęto rozwozić po barakach. Dostaliśmy przydział do baraku nr 4, kajuty z okienkiem i sześcioma narami z desek. Trudno było się nam w niej poruszać, tak była mała. Marysia z tobołków powyciągała pościel i ułożyła na pryczach, położyła siostrzyczki spać. W baraku było bardzo zimno i nie było co jeść. Skradziono nam piękną kołdrę i walizkę z materiałami, które mamusia kupiła u Żydów w Łapach, w pierwszych dniach wojny. Nie zdążyła nawet zapłacić za ten towar. Miała stale wyrzuty sumienia.

Rano zaświeciło słońce, bo już były pierwsze dni marca. Zaprowadzono nas do łaźni. To było przeżycie okropne; wszyscy nago, kobiety i młode dziewczyny. Wyszorowanie się z miesięcznego brudu było rozkoszą. Wszy łąziły po nogach.

Do baraku wprowadziło się 35 rodzin. Była tylko jedna kuchnia. Nie muszę opisywać, co się działo. Wykradano sobie nawzajem najmniejszą kluseczkę, czy kartofla.

W pierwszych dniach pobytu na Syberii nie pracowałam. Dopiero po miesiącu poszłam do pracy. Musiałam zajmować się Teresą i Elżunią. Wykradałam z koniuszki owies i robiłam z niego makaron. Teresa jakoś jadła, Elżunia niestety nie mogła tego przełknąć. Głodowała. Teresa mająca dwa lata przestała chodzić, brzuch zrobił się jak balon i tak siedziała na pryczy. Kiedy usnęła, przez sen podnosiła się i krzyczała; „jeść!”. To było straszne. Teresie i Elżuni dawałam najlepsze kęski, ja stałam się piekielnie głodna. Tak zwana bałanda, czyli zacierki, bez deka tłuszczu, tylko rozciągała żołądek, ale treści nie miała. Chleb był tak ciężki, że pół kilo, to był kawałeczek. Podzielony na kawałki trzymaliśmy w walizce pod narami. Każdy miał swoją porcję. Ile razy wysuwałam tę walizkę i skubałam po kawałeczku ze swojej porcji, tylko jeden Bóg wie. Raz byłam tak bardzo głodna, że postanowiłam najeść się do syta (jeżeli to tak można nazwać) i zjadłam całą porcję od razu. Wystarczyło na chwilę sytości. Wkrótce byłam okropnie głodna, a chleba już nie było. Miałam nauczkę, że lepiej było skubać chleb po kawałeczku, aby wystarczył na dłużej. Mój młody organizm domagał się witamin i tłuszczu, żeby mieć siłę do ciężkiej fizycznej pracy.

Po miesiącu musiałam pójść do pracy. Najpierw krótko pracowałam u p. Siemionowa, wspaniałego starszego pana, który był wywieziony z Ukrainy na Syberię. Odsiedział swoje 25 lat, ale nie mógł wyjechać

II/20

z tej miejscowości. Pozostał zapewne do śmierci. Później przenieśli mnie do pracy na *birżę* do układania desek w „sztable” i ładowania ich do wagonów. Gdy uruchomili *mebelnę*, pracowałam tam jako stolarz. Robiłam taborety i stoły, w nocy, kiedy przychodziły wagony, załadowywałam je deskami, a potem drzewem o średnicy pół metra i więcej. Było to już ponad moje siły. Miałam przecież zaledwie 15 lat i byłam zawsze głodna. W zimie wywieziono nas 20 km w tajgę na zrąb lasu i spław. Nim się nauczyłam trzymać piłę i ścinać drzewa, wylałam morze łez, a ręce przez cały czas krwawiły od pękających pęcherzy. Z czasem i to przetrzymałam, i byłam dobrym drwalem. W tajdze mieszkaliśmy w ogromnym baraku, na pryczach trochę słomy, poduszka i kołdra, i to, co na mnie, fufajka. Strasznie marzłam, a jedzenie przywożone w kotle do lasu na zrąb, było chude i nędzne. Przez cały miesiąc nie rozbieraliśmy się, a myliśmy się śniegiem. To był koszmar. Powrót do baraku w Kwitoku był świętem. Wykapałam się w *bani*, przebrałam w czystą bieliznę. Już więcej nie posyłano nas na wyrąb lasu i spław drzew. Dopiero na wiosnę, kiedy ruszyły lody, robiliśmy zapory na rzece i wyciągaliśmy płynące drzewo z wody na *birżę*, układając je w *sztable* na legarach.

W lecie pracowałam na *szpałoresce*. *Szpałoreska*, to obróbka kłóców drwa na *szpały*, tzn. na podkłady kolejowe. Było już trochę lżej, a może byłam już solidnie zaprawiona w pracy fizycznej, i tylko tak mi się zdawało. Tam zetknęłam się z kobietami i dziewczętami *zakłuczonymi*. Porażały wulgarnością i zwyrodnieniem. Było w nich wiele zła - z pewnością wskutek rozpacz i bólu.

Kiedy skończyłyśmy pracę i drzewo z *birży* zostało usunięte, posłano nas na *szyrpotreb*, gdzie robiłyśmy narty dla zwiadu wojskowego. Pracowałam na *resmosie* i *fuganku*. W baraku było 12 obrabiarek, na których pracowałyśmy na dwie zmiany. Praca była ciężka i niebezpieczna, wiele z nas miało pocięte palce, a jedna z Rosjanek miała tak poważny uraz głowy, że dwa miesiące przebywała w szpitalu. Wróciła z blaszaną płytką w głowie, ale pracować musiała nadal. W *szyrpotrebie* musiałam także pracować przy *pogrusce* wagonów, kiedy tylko je podstawiono.

Na wiosnę epidemia czerwonki dziesiątkowała ludzi. Marysia odprowadziła Elżunię do szpitala. Odwiedzałyśmy ją często, ale nie mogłyśmy być z nią bez przerwy, bo musiałyśmy pracować, żeby żyć. Teresa zostawała sama w baraku na pryczy. Kobiety, które nie pracowały, dawały jej coś do jedzenia i opiekowały się nią.

Pewnego dnia, a było to 31. maja 1940 r., pobiegłam do szpitala prosto z pracy. Elżunia leżała spokojnie, ale jej piękne czarne oczy, takie same

1721

jak mamy, były dziwnie błyszczące. Kiedy mnie zobaczyła powiedziała: *Mamusia jest niedobra, po co nas tu przywiozła. Ja już mamusi nie zobaczę.* Tłumaczyłam, że mama przyjedzie. Pielęgniarka, Rosjanka, poprosiła, abym już wyszła z sali. Poszłam, ale czułam, że z Elżunią jest źle. Pobiełam po Marysię, żeby szybko szła do szpitala, przekazałam jej skargę Elżuni. Marysia rzuciła pranie i popędziła do szpitala, ale siostrzyczki już nie zastała. Była w trupiarni. Okazało się, że ja byłam tuż przed jej odejściem do nieba. Zbyszek z kolegami zbił z nieoheblowanych desek trumienkę. Była trochę za mała. Ułożyliśmy w niej naszą maleńką siostrzyczkę i sami pochowaliśmy ją w tajdze. Jeszcze dziś, kiedy to wspominam, nie mogę powstrzymać się od płaczu.

Ledwie pochowaliśmy Elżunię, zachorowała Teresa na odrę i zapalenie płuc. Oddaliśmy ją do szpitala, ale poszłam razem z nią, by ją pielęgnować. Tak postanowiła Marysia. Nie ma dla mnie łóżka, ale jestem przy Teresie dzień i noc. Śpię na podłodze, na deskach. Lekarz kazał Teresę ciepło okrywać, jest cała zsypana krostami, ma wysoką gorączkę. Opiekuję się nie tylko nią, ale i innymi 8-ma dziećmi, leżącymi w tej sali. Jest to oddział zakaźny, rodzicom nie pozwalają wchodzić, ani mnie wychodzić. Marysia po pracy zmienia mnie, żebym mogła się przespać.

Po miesiącu Teresa zdrowieje, ale na moich rękach umiera sześcioro dzieci. Maleństwa przynoszę rodzicom do okna, aby popatrzyli ostatni raz na swoje dziecko. Teresę zabieramy do „domu”, tzn. do baraku. Jest taka słaba, że nie chodzi, ma duży brzuch. Lekarz każe ją dobrze odżywiać: mleko i jajka. Ale skąd je brać?

Zbliżała się wiosna, musiałam wracać do pracy. Po pracy na *szpaloresce* posłano nas na *szyrpotreb*. Na wiosnę są tu sianokosy. Wieczorami siadałam przed barakiem, zamykałam oczy, wydawało mi się, że tam, w Józefinie, słońce mocniej świeci, jest cieplej i jaśniej. Czułam taką tęsknotę, jakby serce moje pękało, szlochałam, sama biegłam w tajgę, żeby nikt mnie nie zobaczył. Tam mogłam krzyczeć – nikt nie słyszał. Wykrzykiwałam swoją tęsknotę za Polską. Zrozumie to tylko ten, kto stracił ojczyznę.

Pewnego dnia, *dziesiątnik* Zabłocki, woła mnie i krzyczy: *Hanka, choć szybko, twoja mama przyjechała.* Pobiełam na dworzec. Zobaczyłam młodą czarną panią, krótko ostrzyżoną, w czarnej spódnicy i białej bluzce. Pytam: „gdzie jest moja mama?” Mama nie odpowiedziała. Teraz mama pyta: „gdzie jest moja Haneczka?” Ja nieśmiało odpowiadam – „mamo, to ja” i przywarłam do mamy tak mocno, jak tylko mogłam. Ale ze strony mamy był chłód. Z wielkim wyrzutem powiedziała: *jak mogliście pozwolić, żeby Elżunia umarła?! Nie wie-*

1122

działam co powiedzieć. Czy można się dziwić 16-letniemu dziecku? Teraz rozumiem rozpacz mamy: była w obozie Suchobezwodnaja w Gorkowskiej *oblasti*, nie wiedziała, co się z nami dzieje. Miała dom, męża, pięcioro dzieci i w jednej chwili straciła wszystko. Moja mama, to bohater, tak wiele przeżyła. Zadzwoiłam z kantorka po Marysię, żeby przybiegła na dworzec. Przyszła dość szybko z Teresą na rękach. Mama chce wziąć córeczkę na ręce, ale ona nie chce iść do „pani”. Tuli się do Marysi. Następny dramat. Ileż serce matki musiało znieść. Upadła na tory i zaczęła krzyczeć, i wyzywać Związek Radziecki. Wszyscy byli przerażeni. Oficer, który był konwojentem, kazał ludziom rozejść się, podniósł mamę i poprowadził do baraku, a my za mamą. W naszej kajucie: Zbyszek, Marysia, ja, Teresa i babcia, siedzieliśmy bez słowa. Każdy ze swoimi myślami. Mama zapytała, gdzie jest cmentarz. Zaprowadziłam mamę do mogiły Elżuni w tajdze. Rozpaczała. Rękami rozdrapywała ziemię, krzycząc: *Elżuniu, moje dziecko!* Opadła z sił, usiadła na mogile. Do dziś widzę jej zboląłą, bezsilną twarz. Wróciliśmy bez słowa do baraku.

Mama zajęła się nami. Chociaż nie wolno było wychodzić z obozu za druty bez konwoju, ale mama na nic nie zważała. Codziennie chodziła po mleko. Raz *strelok* rozbił mamie butelki z mlekiem, ale ona nie zrezygnowała z pójścia po mleko, i już więcej jej nie zatrzymywano. Było nam już tak dobrze, poczuliśmy, że nic nam się złego przy mamie nie stanie.

Rok 1942 jest mroźny, chociaż już kwiecień - zimno. Do tego stale praca i głód. Chodzę w walonkach nie od pary, bo moje się porwały. Któregoś dnia idziemy do klubu *wolnonajemnych* w Kwitoku. Nagle słyszymy z megafonu nasz hymn: *Jeszcze Polska nie zginęła*. Nie da się opisać, jaki był płacz, krzyk i śpiew na zmianę. Nikt nam nie broił wtedy śpiewać. Zresztą na nikogo nie zwracaliśmy uwagi. W tamtej chwili Kwitok był nasz, polski. Radowali się z nami również Polacy, mieszkający tam na zesłaniu. Każdemu zaświtała nadzieja, że kiedyś do swoich domów powróci. Ile było planów! Najważniejszy z nich – to powrót do Polski. Nie myśleliśmy wtedy, że tam jest wojna, okupacja, nie docierało to do nas. Ogłaszają amnestię dla Polaków. Słyszymy, że Anders zorganizował wojsko polskie. W łagrze gwarno. Młodzi umawiają się do wojska. Tylko, czy pozwolą pójść? Mój jedyny brat Zbyszek, śliczny chłopiec, wysoki, czarny, brwi zrosnięte, wybiera się do wojska. Dotąd pracował razem z Jurkiem Porajskim jako elektryk. W domu, tj. w baraku, mało przebywał. Miał dziewczynę o kasztanowych włosach, Renę. Ona, jej dwie siostry i matka wyjechały do wojska. Pamiętam ich smutne pożegnanie.



Odprowadziłam Zbyszka na stację kolejową. Mama usmażyła mu na drogę kotlety ze zdobytej koniny i włożyła do worka-plecaka. Nigdy więcej Zbyszka już nie zobaczyłam. Poszedł z Andersem i słuch po nim zaginął. Po wojnie rodzice otrzymali wiadomość z Czerwonego Krzyża, że zmarł jako żołnierz w szpitalu na zapalenie płuc w Uzbekistanie. Była straszna rozpacz.

Zostajemy same. Babcia zmarła, było to chyba w październiku 1941 r. Pracujemy teraz i za tych, którzy poszli do wojska. Normy trzeba wykonać, a jedzenia coraz mniej. Siły opuszczały już po trzech godzinach. W tajdze zostali sami starzy i kilkunastoletnia młodzież. Pracowałam w tym czasie przy budowie *skipidarnego* zakładu. Budowa szła od podstaw. Jedne dziewczęta wysadzały dynamitem pnie w wypalanej tajdze, inne czyściły te pnie z węgla, a my musiałyśmy kopać doły pod piece, czyli *kotłowany*. *Dziesiatnik* Ulzutujew – Mongoł, dawał się nam we znaki. Gonił do pracy, a my nie miałyśmy siły wyrzucić gliny z dołu, który miał 3 m głębokości i 10 – średnicy. Było to ponad nasze siły. Potem murowałyśmy z cegły piec (w cegielni też pracowałam), kładłyśmy ruszty. Wytapiano w nim *skipidar*, tj. terpentynę. Najtrudniej było w rozpalonym piecu układać pnie drzewa. Wytrzymało się kilka minut z chustką na ustach, zasłaniając prawie całą twarz przed poparzeniem. Boże, jaka to była ciężka praca.

Więści z frontu były uspakajające. Cenzura nie dopuszczała wiadomości, że Niemcy doszli do Stalingradu.

Po wyprowadzeniu polskiego wojska z Rosji przez Andersa w obozie zaczął się reżim. Na tych, którzy pozostali spadły wszystkie kary. Ograniczono wyprawy do kołchozów po jedzenie. Do ładowania wagonów przydzielano mniej ludzi, a właściwie 16-17 letnie dzieci, które były wyczerpane głodem i pracą ponad siły w dzień, a załadunkiem wagonów w nocy. Rozrastał się cmentarz w tajdze.

Na wiosnę szalała krwawa dyzenteria. W ciągu kilku dni robiła spustoszenie w barakach. Lekarstw nie było wcale, jedzenia prawie też nie. Była jedynie zupa z pokrzywy z odrobiną żytniej mąki. Choć okropna, musiałam ją jeść, żeby żyć i pracować. W kołchozach też ludzie nie mieli co jeść. Ale gdyby nie kobiety z kołchozów, nie przeżylibyśmy. Dzielili się z nami tym, co miały. Pamiętam, że za piękną bluzkę z organdy przyniosłam wiaderko ziemniaków. Nie miałam już w co się przebrać. Jedyna spódnica przetarła mi się z tyłu, to ją przekreśliłam na przód i zasłoniłam fartuchem. Nikt na to nie zwracał uwagi. Na Syberii nie było to ważne. Myślało się tylko o tym, kiedy i jak wrócić do Polski. Wiele pieniędzy zbierali wróżbici, pozał się Boże, ale nam taka otucha też była potrzebna.

Po wyjeździe naszych chłopców i dziewcząt do armii Andersa wstąpiła w nas nadzieja, że Sikorski wynegocjuje nasz wyjazd do Kraju. Tęsknota za Polską była nie do zniesienia. Kiedy głód doszedł do granic niewyobrażalnych, zaczęła się pomoc amerykańska. Jakie to było szczęście. Dostaliśmy żywność, kurtki wojskowe, buty i wełniane koce, z których szyło się spodnice, spodnie, koszule. Wszyscy byliśmy ubrani na szaro, ale było nam już ciepło i tylko to było ważne. Jedzenie było skrupulatnie dzielone. Przede wszystkim dostawały sieroty, którymi opiekowała się nasza mama. Rzetelnie dzieliła te dary. Mimo, iż nie miałyśmy ubrania, nie skusiła się, żeby nas obdarować. Była taka uczciwa.

Przyszła wiosna 1943 r. zaczęto mówić, że organizuje się nowe wojsko polskie. Było mnóstwo plotek na ten temat. W maju, jeszcze leżał śnieg, przyszło zarządzenie, aby stawić się w klubie na komisję lekarską. Będzie mobilizacja dziewcząt. Poszłyśmy rozpromienione, szczęśliwe, że zaczęło się coś dziać. Kiedy wróciłam do baraku w progu krzyczałam: *Mamo, otrzymałam kategorię A, jestem przyjęta do wojska!* Mama zareagowała milczeniem, sposepniała i odwróciła się do okienka. Wybiegłam z baraku podzielić się moim szczęściem z innymi. Myślałam, że zaraz nas powołają. Niestety, nie. Mój zakład pracy wywieźli w tajgę, na sianokosy. Zrobiło się ponuro. Nikt nie mówił o wojsku. Któregoś dnia, było już po pracy, przypędził mężczyzna na koniu. Wyczytywał nazwiska dziewcząt, które w tym samym dniu mają zgłosić się na *birży* nr 5. Lista była długa. Wydawało mi się, że do mojego nazwiska nie dojdzie. Nagle słyszę: Anna Pawłowicz. Myślałam, że się nie doczekam. Wszystko odbyło się błyskawicznie: zbieranie swoich rzeczy, pożegnanie z dziewczętami Rosjankami, kierownikiem, który mnie lubił. Zżyliśmy się. Płakałam, i dziewczyny płakały, odprowadziły nas aż do torów kolejowych.

Wpadłam do baraku. Mamy nie było, z Teresą siedziała Marysia. Zobaczyłam dwa plecaki, uszyte z worka, dla mnie i dla Marysi. Ona też idzie do wojska. Mama poszła wykupić chleb na wszystkie kartki i przyniosła dwa słoiki miodu. Był już wieczór, trzeba było zbierać się do wyjazdu. Pożegnałam się z Teresą, która nie rozumiała o co chodzi. Mama wzięła za ręce mnie i Marysię, i wyszłyśmy. Po drodze nie odezwała się do nas. Słyszymy w milczeniu. Żegnali nas ludzie z baraków. Na piątej *birży* stał już pociąg. Przy wagonach zebrał się tłum matek dziewcząt odjeżdżających do wojska. Do dziś słyszę gwizd lokomotywy i widzę szeroko otwarte oczy mamy, jakby chciała nas zapamiętać na zawsze. Wiedziała, że w Europie jest wojna, a my na nią jedziemy. Wielka niewiadoma. Zostanie sama z Teresą. Padł roz-

II/25

kaz wsiadania do odjazdu. Żegnam się z mamą. Nie wytrzymała. Przerażliwym głosem krzyknęła: „Nie puszczę!” Jeszcze dziś słyszę te słowa. Wsiadłyśmy do wagonów. Krzyk matek był tak straszny, że zagłuszył nasz śpiew: *Nie rzucim ziemi skąd nasz ród ...* - i na tym słowie urwał się. Płakałyśmy wszystkie.

Punkt zborny był w Irkucku, gdzie formowano transport do Sielc. Zakwaterowano nas w klubie kolejowym. Spałyśmy na podłodze. Przybywali chłopcy i dziewczęta z różnych stron: Kwitoka, Złotej Górki, Udacznej, Toporka i piątej Birży. Zmęczone, chodziłyśmy do kina, by na miękkich fotelach przesypiać po klika projekcji. Wreszcie wyjazd.

Żegnamy piękną wielką rzekę Angarę, nad którą leży Irkuck. Jedziemy bydlęcymi wagonami. Do Tajsztetu przybiegło za swoimi dziećmi kilka matek. Moja też biegła 50 km, żeby raz jeszcze zobaczyć nas, ale biedna nie miała siły dobiec na czas. Pociąg odjechał.

W drodze do Sielc pociąg zatrzymywał się w większych miastach. Prowadzono nas do *bani* i na obiad. Fasowałyśmy suchy prowiant i dalej w drogę. Nieraz staliśmy długo na bocznicach, nieraz pociąg pędził bez zatrzymywania się przez pół dnia.

Na jednej ze stacji, moja siostra Marysia gotowała soję w wiaderku, a nasz transport ruszył. Została bez dokumentów w samej bluzce z wiaderkiem soi. Rozpaczałam. Po tygodniu na jakiejś stacji odnalazła nasz pociąg. Była w rosyjskim płaszczu wojskowym. W drodze przybywało coraz więcej chłopców i dziewcząt. Zrobiło się ciasno w wagonie.

Dobrnęliśmy wreszcie do Sielc. Koniec uciążliwej jazdy. Wsiadłyśmy obolałe i zmęczone, ale radosne. Pogoda była piękna. Nad rzekę Oka prowadziła piaszczysta droga wśród młodych sosenek. Na promie stał czołg. Bałam się wsiąść, ale nie było wyjścia. Po drugiej stronie rzeki czekali żołnierze. Kierowali nas na plac. Przy stole, przykrytym zielonym sukniem, siedzieli oficerowie. Kierowali nas do jednostek. Ja dostałam kartkę do artylerii, a bardzo chciałam pracować w stołowie, bo stale byłam głodna. Chciałam chociaż raz najeść się do syta. Potem zobaczyłam śliczną Krystynę Celińską, która w mundurze śpiewała wojskowe piosenki. Wtedy zapragnęłam dostać się do teatru. Na ziemię sprowadziła mnie Marysia: *Przyszedł do wojska, aby walczyć za ojczyznę, a nie gary zmywać, czy śpiewać w teatrze!* Młody Rosjanin, który ze szpitala wrócił do jednostki radził mi: *Hanka, idź do artylerii, zawsze będziesz jeździć samochodem, a nie chodzić.* Posłuchałam. Zgłosiłam się do komisji, pokazałam kartkę, obejrzano mnie. Poczułam się jakbym była do sprzedania. Do artylerii zgłosiła się też Joasia Dobrowol-

ska, Wala Onoszko i Nata Walukówna. Pożegnałam się z siostrą, płakałam, nie mogłam się od niej oderwać. Co ja bez niej zrobię?

Za oficerem idziemy we cztery do 2. PAL-u (pułk artylerii lekkiej). Ja w łowickich trepkach, krótkiej spódnicy, amerykańskiej bluzie, z warkoczami do pasa. Oficer zostawił nas pod drzewem, sam ulotnił się. Zainteresowano się nami dopiero wieczorem. Byłyśmy bardzo głodne. Zaprowadzono nas do namiotu-kwarantanny. Tam spędziłyśmy pierwszą noc, śpiąc na zwale cywilnych ubrań. Rano znów usiadłyśmy pod drzewem. Czekamy. Śmieją się z nas ci w mundurach: *Po co te dzieci do wojska wzięli?* Miałam wtedy osiemnasty rok, ale dusza moja miała wtedy sto lat. Po ciężkiej syberyjskiej pracy, nie było w wojsku nic, czego bym nie mogła zrobić. Nie bałam się fizycznej pracy, tylko obawiałam się, że nie nauczę się sztuki wojennej. Myślałam, że zaraz dadzą mi mundur, że będzie musztra, ale nic z tego. Jednostka, która się formowała, miała wiele różnych prac. Zapędzono nas do piwnicy, gdzie przebierałyśmy ziemniaki. Wreszcie wydano nam umundurowanie. Dla mnie jednak zabrakło. Jednostka męska nie przewidziała mundurów dla dziewczyn.

Zgłosiłam się do dowódcy pułku, mjr. Łubińskiego. Obiecał załatwić tę sprawę. Za dwa dni szef baterii, Biały, zaprowadził mnie do łaźni. Był to okazały, czerwony budynek, w którym wszyscy raz w tygodniu kapali się. Ponieważ ten dzień nie był dniem kąpieli, nie było światła. Szef zapalił skreconą gazetę. Wykapałam się. Dostałam męskie umundurowanie – wszystko o 3 numery za duże. Na prośbę o buty usłyszałam: *Nie wyfasowano*. Szef miał szelmowski uśmiech. Ruszyłam boso za swoim wodzem po rozmokłym lesie i wystających korzeniach. W jednostce dziewczyny konały ze śmiechu widząc mnie. Rano zbiórka, biegniemy myć się do Oki. Potem apel, modlitwa i śpiew: *Kiedy ranne wstają zorze i Boże coś Polskę*. Po apelu śniadanie. W ostatniej czwórce, z kociołkiem w ręce, boso, z dyndającymi troczkami od kalesonów i spodni, szłam zawstydzona do stołówki. Po kolacji - wieczorna modlitwa na apelu. Dostałam buty po zmarłym koleźce z baterii. Wcale mi to nie przeszkadzało, do chwili pogrzebu tego chłopca. Ponieważ byłam rosła i wyglądałam na silną, kazano mi nieść krzyż przed orszakiem pogrzebowym. Szłam w jego butach. Cmentarz, a właściwie poświęcone miejsce, był oddalony od PAL-u ok. 3 km. Krzyż był bardzo ciężki, bolały mnie ręce. Szliśmy przez plac defilad, wieś Sielce i przez teren batalionu kobiecego. Tam spotkałam swoją siostrę Marysię. Postawiłam krzyż pod sosną i dopadłam siostrę z płaczem. Tak bardzo stęskniłam się za nią. Od tej pory wiedziałam gdzie jest i mogłam jej przynosić zupę z naszej stołówki. Miałam sympatię w żołnierskiej

III/27

kuchni. Był to Stasio z wystającymi zębami. Stawiałam swój kociołek głośno, był to znak dla Stasia, że przyszłam.

Dwa razy w tygodniu spotykałam się z B.B.

Wyznaczono mnie i Joannę do pralni. Ziemianka ciemna, dwa kotły gotującej się wody. Pary było tak dużo, że nie widziałam Joasi, stojącej po drugiej stronie. Po zimną wodę wybiegałyśmy w samych koszulach. Prałyśmy bieliznę przez tydzień. Skarzyłyśmy się, że nie chcemy takiej służby, ale swoje musiałyśmy odrobić.

Z dywizji przyszedł rozkaz, że każda jednostka musi zorganizować zespół artystyczny. Oprócz mężczyzn wybrano mnie i Joasię. Ona do chóru, ja miałam powiedzieć monolog. Próby odbywały się codziennie wieczorem w kasynie oficerskim. Zbliżał się termin eliminacji. Miałam wielką treść. Każdej jednostce zależało, aby wypaść jak najlepiej. Artyleria miała największe ambicje. Pewnej niedzieli w teatrze „Pod tęczę” zebrała się cała dywizja z dowództwem. Wystąpił 4, 5, 6 pułk, na końcu PAL. Po piosenkach przyszła kolej na mój monolog. Byłam w płaszczu, trochę za długim. Wchodząc na scenę po kilku stopniach przydeptałam płaszcz i runęłam jak długa. Ze stoickim spokojem odsłuchałam braw, które rozległy się i dobitnie powiedziałam swój monolog. Mietek Cygan, Jarek Hronowicz, Besen zaniemówili. Bezbłędnie wypowiedziałam swoją rolę.

Tak przebiegała nasza służba wojskowa w obozie nad Oką. Oprócz zajęć bojowych były i zajęcia kulturalne. Pewnego dnia przyszedł do PAL-u por. Artur Duszewski (piękny chłopiec) i zarządził: *Hanka – do szkoły podoficerskiej łącznie w pułku, Joanna – do politycznej!* Radość moja trwała krótko. Znalazłam się z samymi chłopcami. Było ich około stu, a ja jedna. W pierwszych dniach przeżywałam dramat. Pole ćwiczeń, ani jednego krzaczka, gdzie mogłabym się załatwić. Zrozumieli to szybko Jan Grom i Jan Lech. Panowie około lat 30. Dla mnie byli to starzy mężczyźni. Robili mi z płaszczy „domek”, potem i inni chłopcy tak ułatwiali mi życie. Nie widzieli we mnie dziewczyny, tylko żołnierza. Kiedyś nie mogłam się ubrać i wyskoczyć z ziemianki jak wszyscy (co miesiąc się to powtarzało, wiadomo z jakiego powodu), ale chłopcy nie domyślili się dlaczego i dostałam „koca”; tłukli, jak chłopca. Zrozumieli to dopiero po jakimś czasie, uświadomieni przez starszych.

Obcięli mi piękne warkocze, nie mogli ścierpieć, że chodzę rozczochrana. Włosy obcięte po męsku były wygodniejsze.

Na ćwiczeniach nie było łatwo. Rozwijanie linii telefonicznej na czas, z dwoma bębnami po 16 kg każdy i pełny rynsztunek, to nie lada wyczyn. Koledzy wieszali mi te bębny – najpierw na pierś, potem na

plecy, żeby była równowaga, do tego drewniana obudowa telefonu. To była „centrala” - wielkie słowo. Centrala, to „Zumer”, o którym dzisiaj nikt nie wie, co to takiego. Z takim ekwipunkiem wkroczyłam do pierwszego boju nad Turią i Bugiem.

Podczas marszów musieliśmy śpiewać. Kiedyś w drodze do stołówki szef Szczupaczyński krzyczy: *Bateria śpiewa!* A my nic. Byliśmy bardzo zmęczeni i głodni. Za karę: *W tył zwrot, kociołki w zębach i czolgać się!* I tak 3 razy. Ale i tak nie zaśpiewaliśmy! Obiad był na komendę. W połowie obiadu szef krzyczy: *Zbiórka!* I już po obiedzie. Potem wzięłam się na sposób – brałam zupę i drugie danie od razu. Jedzenie mieliśmy dobre i wystarczająco obfite.

Egzamin w podoficerskiej szkole zdałam. Otrzymałam awans do stopnia kaprała. Przyszyłam sobie po dwie belki z troczków od kalesonów i byłam dumna.

Przyszedł czas manewrów. Jestem w baterii sztabowej. Dostałam spodnie watawone, piękny kozuch, futrzaną czapkę i wyruszyłam na „mini-wojnę”. Nie lubiłam manewrów, bo ledwie rozłożyłam centralę, już trzeba było ją zwijać. Dostałam rozkaz doręczenia meldunku do sztabu. Poinformowano, że mogę wpaść w ręce wroga. Wtedy meldunek należało zniszczyć, a najlepiej go zjeść. Zobaczyłam na leśnej drodze człowieka, natychmiast pomyślałam, że to wróg. Zjadłam meldunek. „Wrogiem” okazał się kolega z łączności z 2. dywizjonu, od kpt. Rościńskiego. Do sztabu doszłam bez meldunku. Śmiano się ze mnie w baterii. Z manewrów wracaliśmy przy złej pogodzie. Zabrał mnie na motor kolega z Syberii - Jędrzek Porajski, a Joasi, nasz woźnica Kuźmik, odstąpił swojego konia.

Komicznych sytuacji było wiele. Przed Bożym Narodzeniem odbyło się strzelanie. Mnie i Joannie Dobrowolskiej-Hubicz poszło bardzo dobrze. Na placu apelowym, w obecności Wasilewskiej i Berlinga, wyczytano nasze nazwiska, ale my rozmawiałyśmy ze sobą i nie usłyszałyśmy. Okazało się, że dostałyśmy pochwałę za postawę ogólną i za strzelanie. Do ziemianki wracałam z duszą na ramieniu. Szef znowu wymierzył mi stosowną karę.

Innym razem, gdy otrzymałam przepustkę, poszłam z Jankiem Hasiukiem do kina w Sielcach. To kino, to okazała ziemianka. Zaczęła się projekcja filmu. Mnie zachciało się na stronę, ale jak tu powiedzieć chłopakowi o tym. Filmu nie widziałam, myślałam tylko o tym, gdzie udać się w swojej intymnej sprawie. Po projekcji Janek szepcze mi coś do ucha, ale ja nic nie słyszę. Myślę o jednym. Wracamy z kina przez las, księżyc świeci, śnieg pod nogami skrzypi. Nie byłam w stanie dłużej wytrzymać. Stało się: „woda” splywa mi do bre-

zentowych butów i chlupie. Janek mówi: *Popatrz Haneczko, tam był mróz, a tu taka odwilż*. Ciemno zrobiło mi się w oczach. Szłam na palcach i myślałam jak wysuszyć moje kalessy i spodnie. W ziemiance zdjęłam z siebie wszystko, nałożyłam płaszcz, a mokre rzeczy położyłam koło pieca (beczki po benzynie) i już nic mnie nie obchodziło. Chłopcy krzyczeli, że fetor, ale ja milczałam. 150. mężczyzn w ziemiance – fetor był i bez moich suszących się spodni. Dziś wydaje się to śmieszne, ale wtedy dla młodej dziewczyny był to dramat.

Za kilka miesięcy ma nastąpić wyjazd z Sielc. Cały czas trwają intensywne ćwiczenia, poznawanie sztuki wojennej. Jestem już dobrze wyszkolonym żołnierzem. Obsługa radiostacji i telefonu, rozwijanie linii na czas, okopywanie się, posługiwanie kryptonimami (inaczej przez telefon i radio nie wolno było mówić). Do dziś pamiętam swoje kryptonimy: *mandarin, zbruja, deklamator, woda i wiele innych*. Każdy miał swój numer: 01 – dowódca, 04 – szef sztabu, 07 – łączność, 02 – oświatowy. „Ogórki” - to pociski, „gospodarstwa” - jednostki wojskowe. Kryptonimy tak nam weszły w krew, że rozmawiając ze sobą nie wymienialiśmy nazwisk, tylko przypisane do nich numery. Broń była konikiem naszego szefa Szczupaczyńskiego. Musiała lśnić, a nie tylko błyszczeć. I o to dbaliśmy wszyscy.

Nie lubiłam musztry. Odbywała się każdego dnia po kilka godzin. Warty natomiast lubiłam, ale nie w nocy przy magazynie amunicji. Przy każdej poruszającej się gałązce myślałam, że ktoś się skrada. Któregoś dnia skończyłam z kolegą służbę o 6. rano. Przespaliśmy się godzinę. Dyżurny obudził nas na śniadanie. Stały dwa kociołki z zupą. Zjedliśmy i położyliśmy się spać dalej. W pewnej chwili słyszemy krzyk szefa: *Gdzie moje śniadanie? Kto zjadł?* Wszystko skrupiło się na mnie, bo „pysknęłam” mu. Dostałam karę: *Będziesz myć podłogę w ziemiance siekierą!* Zdziwiłam się jak można myć podłogę siekierą, a nie szmatą. Ale wyjścia nie było. Szef dał rozkaz, trzeba było po ćwiczeniach zabrać się do mycia podłogi. Poskarżyłam się kucharzowi, który mnie lubił. On na to: *Haneczko, przynieś wiadra* (a były to wiadra brezentowe) – *wleję ci gorącej kawy, i z głowy*. Tak zrobiłam. Przyszłam do ziemianki z wiadrami kawy i rozlałam ją na 4 deski, bo taka była szerokość między pryczami. Ci, którzy byli na zewnątrz krzyczą – „ziemianka się pali” (na dworze był mróz). Koledzy z ziemianki uspokajali ich: *Nie, to Hanka siekierą myje podłogę za zjedzoną zupę szefa*.

Któregoś dnia postawiłam niedbale kociołek na stojaku. Dyżur miał Gienek Czerepak. Zobaczył to i zawołał: *kapral Pawłowicz – biegiem do mnie!* Normalnym krokiem podeszłam i pytam o co chodzi. A on:

w tył zwrot, biegiem marsz! Pomyślałam, zwariował, mam biegać po ziemiance?! Przepędził mnie kilka razy, musiałam przybiec. Po 40-tu latach przypomniałam mu to, kiedy podkładał mi poduszkę na krześle, u niego w domu. Na to odpowiedział: *Haneczko, przecież ja wtedy musiałem z ciebie zrobić żołnierza.*

Były i inne przygody, związane z kobietą intymnością wśród żołnierzy-mężczyzn, ale krepuję się o nich wspominać.

Wszystko miało swój czas. Musiałam przeżyć te moje rekruckie miesiące w wojsku. Dziś wspominam je z rozrzewnieniem. Byłam młoda, pełna życia i miałam jedną myśl, by jak najszybciej znaleźć się w Polsce.

Wspaniałym człowiekiem był Heniek Czerepak, brat Gienka. Był dowódcą mojej drużyny. Dowódcą plutonu łączności był Humeniuk, bardzo prymitywny człowiek, szefem łączności – kpt. Heniek Glazer, dowódcą baterii - Artur Duszewski. Szlifowaliśmy kunszt wojenny. Uczyli nas, jak zachować się na froncie.

Nadeszło Boże Narodzenie. Wszyscy przeżywali te święta szczególnie. W Wigilię miałam służbę w koniuszni. W ziemiankach słyhać było kolędy, rozmowy, a ja na sianie zapłakana, wspominam Wigilię – dziwne - w Józefinie, a nie na Syberii, gdzie mama i siostra Teresa. Widzę, jak siedzimy przy stole, pod choinką leżą prezenty. I tak mnie ściska w gardle, że śliny przełknąć nie mogę. Konie są niespokojne, gryzą żłoby. Myślałam, że są głodne, dałam im mnóstwo siana, ale one („mongołki”) w ten sposób ścierały sobie zęby. Rano w Święta popędziłam konie do Oki, aby napoć je tam, gdzie każdego dnia chodziliśmy się myć. Siedziałam na jednym z nich. Kiedy się wspinał na brzeg rzeki, zsunęłam się z konia przez ogon. Chłopcy śmiali się: „Hanka, koń ci się skończył!”

Nadszedł czas rozstania z Oką, ziemiankami, spalonym sztabem pułku i z samym lasem, polem ćwiczeń, na którym nie jedna łza moja popłynęła, placem, na którym przysięgałam na wierność Ojczyźnie. Dziś jeszcze widzę nasze ziemianki, które sami budowaliśmy, księdza Łobodzińskiego, odprawiającego mszę św., działa równiuteńko ustawione na placu, koło lasu... Na służbie chodziliśmy przez pewien czas z szablą, nie z karabinem. Wpadała mi między nogi, zanim się przyzwyczaiłam. Ustała poranna gimnastyka, tor przeszkód, poranna i wieczorna modlitwa, zrobiło się w naszym pułku cicho. Tylko na rampie, gdzie odbywał się załadunek całego pułku, było gwaro.

Podstawiono wagony. Musieliśmy nawiązać łączność z 4, 5 i 6 pułkiem, tak żeby można było porozumieć się z początkiem i końcem pociągu. Wagony towarowe. Wieczorem ruszamy.



W ciągu prawie trzech tygodni jazdy żywiono nas trzy razy dziennie kaszą jaglaną z tuszonką. Niedobrze nam się robiło od samego zapachu tego jedzenia.

W wagonie jeszcze bardziej zaprzyjaźniliśmy się. Pamiętam: szefem łączności był kapitan, który jechał razem z żoną. Ona miała pilotkę z dwoma uszkami i wyglądała jak kotek. Nie wiem, jak się nazywał, ale na Smoleńszczyźnie już go nie było. Szefem łączności został Henryk Glazer.

Dowiedzieliśmy się, że Smoleńsk płonie. Kiedy zbliżyliśmy się, samoloty niemieckie bombardowały nasz pociąg. Wtedy padł rozkaz: *Otwierać wagony i wszyscy na podłogę!* Miało to pozorować, że wagony są puste. Bardzo przeżyłam pierwsze bombardowanie. Stałam pod ścianą wagonu i nie mogłam się od niej oderwać. Grom i Lech złapali mnie, przytulili do siebie; wtedy przestało mi tak bardzo walić serce.

Dobrnęliśmy pod Smoleńsk. Był styczeń. Miasto płonęło, ludzie uciekali z płonących domów. W nocy dowódca baterii wydał rozkaz rozlokowania się po domach. Drogi nie widać, chodzimy od domu do domu w śniegu po pas, ale w każdej chałupie pełno żołnierzy i uciekinierów. Wreszcie z Joanną dotarliśmy do chałupy, gdzie spało kilku oficerów na ławach. Gospodyni kazała nam się rozebrać, zdjąć walonki, które włożyła do pieca. W nocy pawie nie spaliśmy. Rozmowom nie było końca. Młodzi oficerowie opowiadali jak jest na froncie, a my przecież szykowaliśmy się na front. Strach nas obleciał. Nad ranem usnęliśmy wszyscy. Obudzone przez gońców, ledwie wstałyśmy.

Do Krokodziłowa było jakieś 3-4 km. Mróz, wiatr nie do wytrzymania, samochody grzęzły w zaspach, szliśmy szosą do wsi. Rozlokowano nas po chałupach w trzech wsiach: Krokodziłowo, Obuchowo, nazwy trzeciej wsi nie pamiętam. Centralę ulokowaliśmy w domu Saszy. Oprócz gospodyni był tam dziadek bez jednego oka, babcia, dwoje dzieci. Nas było siedmioro. Dla mnie zbito pryczę między piecem a ścianą, chłopcy spali na podłodze, na słomie. Dawno nie zaznałam tyle serdeczności, miłości i macierzyńskiej czułości. Sasza codziennie gotowała nam *czugun* ziemniaków, wlewała do nich mleko i robiła piure. My dzieliliśmy się z jej rodziną posiłkami żołnierskimi z kotła. [...] Sasza polubiła mnie, jak własną córkę. Kiedy szła do swoich znajomych we wsi zabierała mnie ze sobą i sadzała na kolanach. Kiedy stałam na warcie, przychodziła do mnie, aby mi było raźniej. Tylko dziadek nie lubił mnie, bo kiedy chciałam wykapać się, musiał wychodzić razem z chłopcami. *Bania* była prymitywna, brudna, na podwórzu, po wodę chodziłam do rzeczki przy dużym mrozie. Sasza

zadecydowała, że kąpać się będę w domu. W tej wsi, jak i w sąsiednich wioskach, nie było ani jednego dorosłego mężczyzny, tylko starzy i chłopcy do lat 12. Gospodyni uwielbiała Jasia Groma. Dla mnie był on starym mężczyzną, miał co najmniej 30 lat.

Cały czas odbywały się ćwiczenia: strzelanie do celu, uczenie się alfabetu Morse'a, doskonalenie wiedzy z zakresu zachowania się na froncie.

W marcu przyszła wiadomość, że kpt. Szelewicz z kilkoma oficerami pojechał na rekonesans do Berdyczowa. Zaczynamy myśleć o wymarszu. Ruszamy samochodami do Berdyczowa. Pożegnania były dramatyczne. Całe trzy wsie wyszły nas pożegnać. Sasza całą noc piekła placki dla nas na drogę. Każdy otrzymał zawiniątko, a i gorzałka też się znalazła. Kobiety błogosławiły nas, płakały, a moja Sasza aż krzyczała z rozpacz, tak się o mnie bała, że idę na front. Płakaliśmy razem z nimi. To pożegnanie nie było wymuszone, a rzeczywiste. Zżyliśmy się z tymi szlachetnymi ludźmi, dla których wojna już się skończyła, a my na nią idziemy. Ruszyliśmy w czasie roztopów, wśród spalonych domów we wsiach, mijaliśmy tylko starców, którzy gromadzili się przy drogach, wynosili nam wodę, *lepioszki* i mleko, a stare kobiety odprowadzały nas znakiem krzyża. Tyle dobroci i serdeczności doznałam od tych prostych ludzi.

Pod Berdyczowem rozłokowaliśmy się we wsi. Tam świętowaliśmy Wielkanoc. Rano czwórkami poszliśmy do kościoła. Kobiety z jajami, pierogami, kiełbasą, słoniną wędzoną, czekały jak wyjdziemy z kościoła. Do wsi wracaliśmy obładowani. Moja bateria urządziła wielkanocne śniadanie w sadzie wiśniowym. Rozstawiono stoły, kucharz bardzo się postarał i znalazła się wódka, którą piłam pierwszy raz w życiu. Odchorowywałam ją przez tydzień. Chłopcy pełnili za mnie służbę. Po świętach dalsze szkolenie: maskowanie, chodzenie po transejkach (okopach), budowanie ziemianek. Dowódca baterii, Duszewski, był bardzo wymagający.

Chyba w maju zaczynamy szykować się do wymarszu na zachód. Znowu pożegnania, łązy i w drogę. Na samochody załadowaliśmy sprzęt łącznościowy; radia nie mieliśmy, aby utrzymywać łączność z dywizjonami i sztabem pułku. Dojeżdżamy do dawnej granicy Polski. Cała kolumna naszego pułku zatrzymała się. Dowódca mjr Czureszkin i dowódca naszej baterii sztabowej uklękli na kolana i ucałowali ziemię polską. Uczyniliśmy to samo. Płakali wszyscy. Na Syberii tyle razy mówiono nam, że nigdy nie zobaczymy Polski. Na pierwszym postoju napisałam list do mamy, że jestem już w Polsce. Dobrnęliśmy pod Kiwerce. Na skraju lasów Suskich zbudowaliśmy ziemianki. Za-

mieszkałam z Natą Walukówną, radzistką, którą przydzielono do naszej baterii. Dostałam list od Marysi. Pisała, że stoi blisko naszej jednostki. Przez łąki i laszek pobiegłam do wsi, gdzie znajdował się sąd I. Dywizji. Zapachniało mi domem. Dała mi na drogę konserwę i notesik, do którego wpisała się. Mam do dzisiaj ten notes, do którego potem wpisywali się moi współtowarzysze wojenni. Zaglądam nieraz do niego i wtedy przenoszę się myślami do lasów Suskich.

Centrala moja ulokowana była w chacie, w tej samej wsi, co sztab. Ja spałam w domu, mężczyźni w stodole. Potem wszystkich przenieśli do lasu. Linie telefoniczne były podwieszane, część zakopaliśmy. Przeszły po nich czołgi. Wiadomo, co stało się z linią. Chłopcy rozbiegli się do jej naprawienia. Będąc na komutatorze miałam połączyć 04 (szef sztabu – mjr Łańcut) z kwatermistrzostwem. Odezwał się obcy głos. „Prześwięciłam” go ostro. Okazało się, że był to mjr Kukurudza. Dostałam 5 dni paki. Żandarmi zaprowadzili mnie do świńskiego chlewa, gdzie były dwa koryta. Na jednym siedział już kan. Igła, radzista z II dywizjonu, ja na drugim. Napisałam list do mamy, że niesprawiedliwie dostałam 5 dni aresztu, jak kiedyś na Syberii dano mi 5 dni *katałaszki*. Chłopcy z baterii też protestowali, że za takie głupstwo posadzili mnie na 5 dni i doradzali, żebym zażądała dla siebie osobnej celi. I tak zrobiłam. Dowódca żandarmerii, Kuczyński, zaniemówił. Po chwili powiedział: *Co ty myślisz, że będę ci budował nowy chlew, przecież jest tylko jeden*. Chłopcy ryknęli śmiechem. Jednak przeniesiono mnie do stodoły, gdzie nocowała żandarmeria. Po nieprzespanej nocy wyszłam przed stodołę. W sadzie na drążku ćwiczył kpt. Szelewicz. Kiedy zobaczył mnie mjr Łańcut, powiedział do niego: *Słuchaj, Ludgard, zwolnijmy Hankę do baterii, po co ma tu siedzieć?! – Jak zasłużyła, niech siedzi!* – odpowiedział Szelewicz, nie przestając ćwiczyć.

W czerwcu mieli przyjechać do naszej dywizji przedstawiciele przyszłego rządu polskiego. Rano szef krzyczy: *Pobudka!* I tak 3 razy, a w ziemiankach cisza. Wściekł się i pogonił nas po polu torfowym, przydeptując nogą, kiedy wydawał komendę: *Padnij!* Z naszych mundurów, „uprasowanych” spaniem na nich w nocy, nic nie zostało. Szef krzyczał: *Za 3 godziny wszyscy wymyć i czyści stawić się na zbiórke!* Po kilku dniach goście odjechali.

Wymacały nas niemieckie samoloty. Byliśmy przygotowani do krycia się w pojedynczych okopach.

Kiedyś podsłuchałam w centrali prywatną rozmowę Szelewicza z przyjacielem. Mówili do siebie, że w PAL-u jest taka fajna dziewczyna, ale do niej dostąpić nie można, tak jej chłopcy w baterii pilnu-

ją. Byłam szczęśliwa, że Szelewicz, piękny, wysportowany mężczyzna, zainteresował się mną.

Znów przyszedł rozkaz, że niedługo wymarsz na front. Najpierw ruszy kilkunastu żołnierzy na rekonesans. Wyczytano nazwiska. Pada moje i Szelewicza, zwiadowcy. Ucieszyłam się, zapomniałam, że jedziemy na front. Wysłuchałam ostatnich wskazówek dowódcy baterii. Otrzymałam pełen rynsztunek, gaz-maszkę, hełm, amunicję, spakowałam swój plecak. Ruszyłam do sztabu pułku leśną drogą. Spotkałam kpt. Szelewicza. Zapytał: *No co „Zupak”, jedziemy na front?* Popatrzyłam na niego, miał takie piękne, niebieskie oczy. Byłam oczarowana. W sztabie czekaliśmy z żołnierzami na samochody. Wieczorem wyruszamy zmęczeni drogą i czekaniem. W samochodzie przysypiamy. Zatrzymaliśmy się w lesie, 8 km od frontu. Musieliśmy jeszcze wysłuchać ostatnich poleceń i pouczeń jak zachowywać się na prawdziwym froncie, gdzie giną ludzie. Na miejscu musieliśmy okopać się w pojedynczych okopach. Szef sztabu, mjr Łańcut powiedział na początku kilka ciepłych słów, a na koniec oświadczył, już zupełnie innym głosem, że jeśli nie wykonamy rozkazu, odpowiemy przed „tym” i wskazał na kaburę pistoletu. To wystarczyło. Sielankowy nastrój prysł. Rozkazał napisać pożegnalne listy do rodziców, zdjąć czapki nałożyć hełmy. Zabrakło mi pewności siebie. Ułożyłam się na nasypie swojego okopu, wyjęłam jakąś kartkę z plecaka i zaczęłam pisać. Dziwne, list adresowałam tylko do mojej mamy; o ojcu nie wspominałam. Prosiłam mamę, żeby nie rozpaczała, jeśli zginę, uspokajałam ją, że widocznie tak będzie trzeba, że tęsknię za nią i że ją bardzo kocham. Nie pamiętam dokładnie słów, ale sens listu był taki. (Tak naprawdę nie myślałam o śmierci, bardzo chciałam żyć). List włożyłam do kieszonki munduru wraz z opatrunkiem. Włożyłam hełm i zrobiło mi się dziwnie zimno. Ten „garnek” był za duży, objął mi nos i kark. Dowódca Duszewski wyczytał nazwiska, w tym i moje. Mamy jechać na zainstalowanie i rozwinięcie łączności do dywizjonów, punktu obserwacyjnego, dowódcy pułku i szefa sztabu. Nocą 17. lipca 1944 r. wyruszyliśmy samochodem w kierunku rzeki Bug, nad Turie. Byli ze mną: Jaś Lech, Jaś Grom, Heniek Czerepak, Bielecki, Tomaszewicz - „Omega” i kilku żandarmów. Jechaliśmy w milczeniu. Lecha i Groma traktowałam jak ojców. Oni opiekowali się mną od samego początku mego przyjęcia do baterii sztabowej. Miałam w nich oparcie, chronili mnie przed natarczywymi spojrzeniami mężczyzn, bo byłam jedna w baterii. Nie mogłam znieść tej piekielnej ciszy, zapytałam Jaśka Lecha, gdzie jest ten front. On podniósł lekko plandekę i pokazał zawieszane świece, które oświetlały linię frontu.

Był już brzask. Popatrzyłam na chłopców; każdy z nich miał czerwone oczy. Moje też takie były. Wysiedliśmy przy wiśniowym sadzie. Padał deszcz. Trzeba było wykopać okopy. W mojej ziemiance było kilka bali, które miały zabezpieczyć centralę (komutator) od zabłąkanych kul i szczątków strąconych samolotów. Wyznaczono mnie do obsługi centrali. Miałam podawać dane na pozycje ogniowe dywizjonów. Przekazywał mi je kpt. Szelewicz. Ranek - godzina „0”. Zaczęło się przygotowanie artyleryjskie. W jednej chwili zrobiło się piekło na ziemi. W tym huku musiałam dokładnie wysłuchiwać danych i przekazywać je do dywizjonów. Żołnierze przykryli mnie płaszczami i pałatkami, abym słyszała, co mówią do mnie telefoniści. Ogień artyleryjski prowadzony był przez 2. godziny, ale mnie wydawało się, że trwał wieki. Kiedy ustał, chłopcy wyciągnęli mnie spod przykrycia. Byłam prawie nieprzytomna, idąc transeją zataczałam się i nie rozumiałam, co do mnie mówią. Kiedy dotarłam do ziemianki żołnierzy, chciałam położyć się chociaż na chwilę. Wtedy zauważyłam, że nie mam swojego plecaka, płaszcza i kociołka. Miałam karabin, hełm i gaz-maskę. Zostawiłam swoje „skarby” w miejscu, w którym pisałam list do mamy. Pobiegłam do szefa prosić, by dał mi jakikolwiek środek lokomocji, abym odzyskała swoje rzeczy. Dostałam motor i półżywa popędziłam do miejsca, z którego odjechaliśmy. Przy plecaku siedzieli żołnierze ze sztabu Armii. Droczyli się ze mną i nie chcieli mi go wydać. Musiałam powiedzieć dokładnie, co jest w plecaku. Odzyskałam swoją własność. Wróciłam do swoich. Został mi jeszcze kawałek linii telefonicznej do zwinięcia, na odcinku do budy sztabu dowodzenia. Gdy tam dotarłam zastałam mjr. Łańcuta i kpt. Szelewicza. Ucieszyli się i całą butelkę rosyjskich perfum wylali na mnie. Okropnie brzydko pachnąca wróciłam na swoje miejsce. Z powodu tego zapachu przez cały dzień chłopcy nie chcieli zbliżyć się do mnie.

Po tym „chrzcie” byłam już prawdziwym żołnierzem. Widziałam, jak wygląda zabijanie. Widziałam na poboju zabitych żołnierzy niemieckich i naszych. Wyglądali tak spokojnie. Swoich chłopców opłakiwaliśmy. Na progu ojczyzny oddali młode życie, w które jeszcze na dobre nie weszli.

Minęła połowa lipca 1944 r. Upał. U progu ojczyzny nie wszyscy witali nas szczerze. W jednej wsi, spragnieni, poprosiliśmy o wodę. W odpowiedzi usłyszeliśmy, że w studni jest woda. Zrobiło nam się przykro. Na terenie Rosji taka sytuacja nigdy nie miała miejsca. Tam dzieci i dorośli już na początku wsi krzyczeli: *Wojsko idzie!* Rosjanki wynosiły na drogę wodę, mleko, *lepieszki*. Czuło się serce. Tu powiało

chłodem. Kiedy wchodziliśmy w głąb kraju sytuacja zmieniła się na lepsze.

Dojeżdżając do Lublina mijaliśmy Majdanek. Ludzie-cienie, ubrani w pasiaki, siedzieli wynędzniali w rowach. Wyglądali jak szkielety. Widok porażał.

Lublin witał nas bardzo entuzjastycznie. Upał, fetor zabitych, rozkładających się koni, tłum ludzi krzyczących, radujących się widokiem polskiego żołnierza. Byłam zmęczona. Chłopcy z samochodu krzyczą: *Hanka, wsiadaj do kabiny*. Próbuję wsiąść. Ktoś ze szturmówką uderzył mnie niechcący w nos. Pocięła krew. Jakaś pani podała mi swoją piękną chusteczkę. Wsiadłam do samochodu i nagle słyszę: *Hanka!* Zobaczyłam swoją siostrę Marysię. Podarowała mi ogromny bukiet kolorowych mieczyków, który sama dostała od witających. W innym miejscu młodzi chłopcy z Lublina otwierają drzwi kabiny i krzyczą: *Boże, tu jest dziewczyna!* Wyciągnęli mnie z samochodu i robią sobie ze mną zdjęcia. Samochody jechały przez miasto bardzo wolno, co chwilę musiały stawać. Na dobre zatrzymaliśmy się 20 km za Lublinem. Tu zaczęła się strzelanina. Strzelano do nas. Nie mogliśmy zrozumieć, kto i dlaczego strzela. Po kilku godzinach strzelanie ustało i już spokojnie przygotowywaliśmy się do następnego „zabijania”. Był 26. lipca, moje imieniny, Anny. Chłopcy ściskali mnie, całowali. Wszyscy życzyli jednego, abym doczekała końca wojny. Szelewicz zaproponował mi mały spacer. Na dyżurze przy centrali zastąpił mnie Sosnowski. Wieś, w której zatrzymaliśmy się, była pagórkowata. Poszliśmy połą drogą. Złożył mi życzenia i wyciągnął z za pazuchy czekoladę. Byłam skonsternowana, ale czekolady nie jadłam od początku wojny, przyjął. Zjedliśmy ją w mig. Byłam szczęśliwa, że chłopiec, który miał tak piękne, niespotykane imię Ludgard, szedł koło mnie i do tego miło rozmawiał. Kiedy wracaliśmy do sztabu już rozległ się głos szefa: *Bateria!* Stanęłam, jak zawsze w szeregu, ale serce moje biło o wiele szybciej, niż zwykle.

W nocy wymarsz. Zbliżamy się do Wisły.

W Puławach miałam swoją centralę w Instytucie Rolniczym i tam pierwszy raz na służbie zasnąłam - przyszło takie zmęczenie. W piwnicach Instytutu żołnierze odkryli dużo wspaniałej żywności, zostawionej przez Niemców.

Spod Puław przemarsz w kierunku Wisły odbywał się między 4. a 10. sierpnia. Przed nami – forsowanie Wisły. Środki, jakimi dysponowała dywizja do przeprawy były beznadziejne: jakieś dziurawe łodzie, deski, płaszcz-pałatki ze słomą. Przeprawa na drugą stronę Wisły nie udała się z marszu.

11/37

W końcu przeprawiliśmy się na przyczółek magnuszewski. Luzowaliśmy tam Armię Radziecką, która ruszała w kierunku Warszawy na Dęblin. Wchodzimy do boju. Magnuszew. To już nie przelewki. Są ranni, zabici. Nasze linie więcej mają izolacji, niż zdrowego kabla. Kiedy tylko mamy wolną chwilę, rozwijamy kabel i reperujemy go. Upał daje się we znaki. Cały czas walka. Przemieszczamy się za Magnuszew do wsi Osiemborów. W Osiemborach siedziałam bez podmiiany prawie trzy tygodnie, w ziemiance, którą sama z żołnierzami rosyjskimi kopałam. Nie zastanawiałam się nad tym, dlaczego z rosyjskimi. Dopiero po latach pewne fragmenty tamtych dni zastanawiały. Wtedy polityka nie wchodziła w rachubę. Byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy w Kraju i że o niego walczymy. W ziemiance nie mogłam się zupełnie wyprostować. Siedziałam na skrzynce po pociskach od moździerza. Byłam bez przerwy zgarbiona, nogi miałam pod brodą. To była męka. Chłopcy przynosili mi w kociołku herbatę i suchary. Mówili, żebym nie narzekała, byli ogromnie zajęci naprawianiem linii.

W Osiemborach obchodziliśmy rocznicę naszego pułku. Był nawet gen. Berling. Ja i Joasia zostałyśmy zaproszone, jako wyróżniający się żołnierze. Powiedziano nam, że wybuchło powstanie w Warszawie.

I znów ruszamy w bój, w kierunku Warki. Łączność, to nerw wojny. Bez łączności nie można prowadzić skutecznego ognia. Zdaję sobie z tego sprawę. Raz pracuję przez radio, to znów przez telefon.

Cały czas w walce, ale w ojczyźnie. Chłopcy mówili, że jeśli któryś padnie, to przecież na swojej ziemi. Tylko byłoby żal rodziców, którzy byli tak daleko na Syberii. Nie wiedzieliby, gdzie są nasze mogiły. Takie rozmowy prowadziliśmy zawsze przed bojem. Strach przed śmiercią – byliśmy tacy młodzi. Kiedy spotykaliśmy się po walce – albo wszyscy, albo kogoś było brak – wtedy łzom nie było końca. Jak powiadomić rodzinę? Kiedyś listonosz Świedziński przyniósł list od matki do naszego kolegi, którego nie było już wśród żywych. Jak przeżywaliliśmy - tego nie da się opisać. Na ziemi puławskiej zginęła Gabrysia Wojciechowska. Byłam z nią na Syberii w jednym łagrze Kwitok. Była wesoła, młoda, miała 19 lat, tyle, co ja. Wtedy zadawaliśmy sobie pytania: *Po co ta wojna, komu potrzebna śmierć w tak młodym wieku?* Zaczęłam „filozofować” i ja, roztrząsać sens zabijania.

Nad Warszawą łuna pożarów. Docierają do nas straszne wiadomości o okrucieństwach okupanta. Wiemy o powstaniu, opowiadają nam o getcie żydowskim, wydaje nam się, że to bajki, że to niemożliwe. Chociaż na Syberii było okropnie, ludzie umierali z głodu, ale nie strzelano do nas, nie rozbijano dzieci o mury. Jakoś zbyt powoli idziemy z pomocą dla tych bezbronnych, zamkniętych w mieście ro-

daków. Mam przecież na Żoliborzu ciotkę, siostrę cioteczną, stryja. Zadaję sobie pytanie, co z nimi. Staliśmy w obronie, ale jeszcze dziś wydaje mi się, że za długo.

Dochodzimy do ul. Radzymińskiej na Pradze. Ogromne zniszczenia przed domem, w którym zatrzymujemy się. Szef baterii wydaje rozkaz, aby zasypać ogromny lej po bombie. Za chwilę ulica jest naprawiona. Szybko rozwijamy linię telefoniczną do dywizjonów i w całym budynku.

14. września 1944 r. 1. Dywizja Piechoty wyzwala Pragę, ale ogień niemiecki nie ustaje. Przechodzimy przez cmentarz. Topografowie instalują punkt obserwacyjny na dachu szkoły. Tam też musiałam pełnić dyżury. Kiedy bombardują nas Niemcy, chowamy się na cmentarzu w masywnych grobowcach. Nie bałam się.

Nadleciały amerykańskie samoloty z pomocą dla powstańców. Było ich bardzo dużo. Niemiecka artyleria tak je ostrzeliwała, że niebo było pocięte *zenitkami* (działka przeciwlotnicze) w cętki. Pojemniki ze sprzętem leciały z góry, niektóre na spadochronach. Spadały w okolicy „Pasty” - wieżowca w pobliżu ul. Marszałkowskiej.

Któregoś dnia szef baterii powiadomił nas, że nie otrzymamy posiłku przez cały dzień, bo musimy podzielić się z walczącą ludnością w Warszawie. Dostaliśmy tylko suchary. Żywność dla powstańców przewieziono jakoś przez Wisłę.

27. grudnia 1944 r. przyszedł rozkaz oddelegowania kobiet do innych jednostek. Pożegnałam kolegów z PAL-u. Mnie skierowano do Samodzielnej Kompanii Łączności przy 2. Dywizji, Joasię Dobrowolską i Urszulę Sokołowską – do zarządu politycznego armii. W PAL-u byłam jedyną dziewczyną, w Samodzielnej Kompanii Łączności są trzy dziewczyny oprócz mnie: Stenia blondynka, Gienia Szlezak, małeńka, szczuplutka, wspaniała dziewczyna i Janka, drobna dziewczyna z bardzo dobrym sercem. Stenia, pouczająca wszystkie dziewczyny, starała się i mnie podporządkować, myślała, że nie umiem pracować przy centrali telefonicznej. Kiedy dowiedziała się, że do kompanii przyszedłam z centrali i radiostacji, nabrała dla mnie szacunku.

Dowódca plutonu, Helena Bednarska-Danielska, piękna dziewczyna o cudownym uśmiechu, przychodziła do nas z linii walk zmęczona, wygłodzona, zakurzona. Dowodziła 24-ma mężczyznami. Ciągnęła linię telefoniczną do 6. pułku i z tym pułkiem współpracowała. Była w kompanii jeszcze jedna dziewczyna, która miała nr 6, tzn. musiała chodzić na linię, kiedy została przerwana. Towarzyszył jej Pędziwiatr, mały, niepozorny chłopiec, który nosił cały sprzęt na plecach. Ze skrzypcami nie rozstawał się. W chwilach odpoczynku grał nam w zie-



miankach. Dowódcą centrali był Florianowicz, bardzo miły człowiek. Do dziś pamiętam jego twarz. Dowódca plutonu, Rosjanin Leonow, pogodny, serdeczny, zawsze uśmiechnięty, w najtrudniejszych chwilach wspomagał nas, chociaż był bardzo młody. Uwielbiałyśmy go. Staralam się wejść w tę społeczność, dopasować się. Oni wszyscy znali się już od roku. Szybko zaaklimatyzowałam się, polubili mnie.

15. stycznia 1945 r. wstąpiliśmy do boju o Warszawę. Dzień wymarszu był bardzo mroźny. W pełnym rynsztunku, piechotą szliśmy w kierunku Wisły. Zanim dojdziemy do Wisły – nocleg w Zielonce. Kpt. Danielski polecił nam rozlokować się w budynku, ale nikt nie chciał nas przyjąć. Mówili – „macie wszy”. Bolało nas serce od takiego przyjęcia. Mróz, śnieg, wiatr miota nami, w domach - nieprzychylność. I znów przypomniało mi się przyjęcie na Smoleńszczyźnie, w Berdyczowie, matczyne przyjęcie już na progu chaty. Przykre, ale prawdziwe zestawienie.

Świtem, bez jedzenia ruszyliśmy na przeprawę. Jeszcze jeden nocleg – w Jabłonnej. Śpimy w ziemiankach budowanych przez Niemców. Dziś nie wiem, jak mogliśmy zasnąć w ziemiankach przy okropnym mrozie. Ruszyliśmy, gdy jeszcze było ciemno. Przy przeprawie stał nad Wisłą młyn, w nim rozpalony do czerwoności, piecyk. Dopiero przy nim rozgrzałam się.

Wyznaczono mnie do ciągnięcia linii przy dowódcy dywizji, płk. Rotkiewiczu. Wisła była zamrznięta, ale w miejscu przeprawy wystąpiła spod lodu woda. Lód popękał pod przeprawiającymi się wcześniej. Przeszliśmy na piechotę. Sprawdzam linię, okazuje się, że nie mam łączności. Po raz pierwszy na całej drodze spotkałam się z nieuczciwością łącznościowców. Wróciłam z kablem w rękach do *katuszki* (bęben kabla). Łzy spłynęły mi po policzkach i zaraz zamarzały. Dobiegłam do Gieni Szlezak, która stała na przeprawie i ponownie rozwijałam linię przez Wisłę. A rzeka była szeroka. W pełnym rynsztunku, z bębniem kabla, ważącym 16 kg, musiałam pokonać ją bardzo szybko, bo dowódca musiał mieć łączność z przeprawą. Wtedy rozgrzałam się do czerwoności.

Zatrzymaliśmy się koło Łomianek. Małe sosenki, piekący mróz, zaświeciło słońce. Po dwóch nie przespanych nocach chce się pić i jeść. Widzimy palący się dom, szybko biegniemy tam, aby się ogrzać. Dowódca krzyczy: *Nie podchodzić blisko, belki leca!*

Przez Łomianki, Bielany, docieramy do ul. gen. Zajączka. Miasto jest puste, okryte tylko białym puchem, języki ognia widoczne w domach. Tam, gdzie się nie pali, fruują białe firanki. Przygnębiający widok. Siedzę w jakimś mieszkaniu na pięknej kanapie, rozpałam

11/40  
ognisko z krzesła, bo nic innego nie ma. W piwnicy tego budynku przy ul. gen. Zajączka rozkładamy centralę. Zimno okropne. Chłopcy znaleźli piecyk, ale bez rury. Mimo to rozpalamy piecyk, robi się ciepło, ale dymu jest tyle, że trudno wytrzymać. [...]

Po nocy przespanej na materacach (było ich kilkanaście w piwnicy) wychodzimy na dwór. Wiem, że jesteśmy na Żoliborzu, a moja ciocia mieszka przy pl. Wilsona, i ja tam przed wojną przyjeżdżałam. Pamiętam dom, adres cioci, ale nie wiem, gdzie to jest i nie mam kogo zapytać. Z Natą - koleżanką z artylerii 2. Dywizji - rozglądamy się, kogo by zapytać. Moi chłopcy są zza Buga, nikt nie był nigdy w Warszawie. Spostrzegam wychodzącego z ruin w naszą stronę mężczyznę. Dochodząc do mnie rozłożył ramiona i krzyknął: *Boże, to polskie wojsko! Trzymał mnie za ręce i rozplakał się. Wskazał mi drogę. Poszłam z Natą tak szybko, jak mogłam. Weszłam na podwórko, na którym bawiłam się przed wojną. Nie było kapliczki z Matką Boską. Weszłam do klatki schodowej i mieszkania nr 100. Myślałam, że zobaczę ciocię, Renę, a tu nic z tego. W mieszkaniu było pełno żołnierzy, w progu gruz, drzwi otwarte, w stołowym pokoju bałagan, zdjęcia porzucane na podłodze, na stole kluczyki od kredensu, w sypialni zestawione dwa łóżka, ale bez pościeli. Szlafrok cioci wisi na poręczy łóżka, jak gdyby dopiero go zdjęła. Byłam zdruzgotana. Wzięłam saszetkę wyhaftowaną przez Marysię na imieniny babci, ręcznik, zdjęcia Reny i cioci (mam je do dzisiaj). Nata przepędziła żołnierzy z mieszkania. Chcąc zostawić ślad, że byłam i że już z Marysią jesteśmy w kraju, napisałam na ścianie czerwoną kredką: *Piszcie na adres pol. poczta 16186, Hanka Pawłowicz.**

Warszawa leżała w gruzach. Patrzyłam na puste, rozbite miasto. Chociaż w drodze widziałam wiele zniszczonych wsi, tak wielkie gruzowisko domów, zrobiło na mnie straszne wrażenie. Powiedziałam wtedy do Naty, że za 50 lat nie zdołamy wywieźć gruzów z Warszawy, a co dopiero zbudować domy i kościoły. Utkwił mi w pamięci kościół na Krakowskim Przedmieściu, doszczętnie rozbity. Został jedynie leżący na bruku Jezus, trzymający krzyż.

Byłam tylko dwa dni na gruzach Warszawy. Poszłam na Brześć Kujawski z grupą, która miała zabezpieczyć łączność dowództwa 2. DP. Mróz, wiar, głód, droga niesamowicie zaśnieżona. Szliśmy po koleinach samochodów. Kiedy dziś wspominam, trudno mi uwierzyć, że miałam tyle siły, że nie chorowałam. Co to znaczy mieć 19 lat! Nic się mnie nie imać.

Po trzech dniach zajmowaliśmy kwatery i rozwijaliśmy łączność. Zakwaterowana byłam we wsi Brześć Kujawski. Rozmowom z gość-

II/41

cienną gospodynią nie było końca. Gotowała nam miód z makiem. Pokazała zdjęcia swojej córki, którą Niemcy wywieźli na roboty. Martwiła się o nią, nie wiedziała, co się z nią dzieje.

O świcie wymarsz do Inowrocławia. Zimno, ciemno, ale to nie wycieczka, to wojna. Póki ciemno, poszliśmy we cztery na stronę. Schowałam się za kopiec z kartoflami. Nie wiedziałam, że za nim jest rów z wodą, bo zasypany był śniegiem. Wpadłam do niego. Prawie do pasa byłam mokra, w butach miałam wodę ze śniegiem. Rozpacz. Kpt. Danielski, dowódca kompanii, rozkazał woźnicy zawieźć mnie do najbliższej chałupy, abym mogła się wysuszyć. Trudno było znaleźć chałupę, w której paliłby się ogień. Zobaczyliśmy dym z komina, dobiegamy tam, a to barak, w którym mieszkali robotnicy wywiezieni do Niemiec na roboty. Mały piecyk, w którym ledwo tlił się kawałek drzewa. Zdjęłam buty, wylałam z nich wodę, onuce były mokre. Włożyć buta z mokrą onucą nie mogłam, więc wsunęłam gołą nogę do mokrego, zimnego, brezentowego buta. Woźnica krzyknął: *Hanka, szybko, bo kompania już przeszła, trzeba ją dogonić!* W marszu wyszłam, było mi zimno, ale nie miałam ani kataru, ani kaszlu.

Dotarliśmy do Inowrocławia, wygłodzeni, zmęczeni, rozwijać łączności nie trzeba, bo tylko jedną noc mamy wypoczynku. A było to 1. lutego. Taką datę napisała mi na zdjęciu śliczna dziewczyna, u której nocowałam. Zatrzymaliśmy się początkowo w baraku, w którym mieszkali Polacy wywiezieni na roboty do Niemiec. W pewnej chwili w baraku pojawiły się dwie panie, które zapytały naszego dowódcę, czy czegoś nam nie potrzeba. Spostrzegły cztery dziewczyny: Stenia, Gienia, Janka i ja siedziałyśmy na narach. Krzyknęły: *Boże, przecież tu są dziewczęta!* Dopadły naszego szefa i poprosiły, aby pozwolił nam zatrzymać się u nich w domu.

Willa piętrowa, nic szczególnego, ale ile w niej serca. Zostałyśmy zaproszone do mieszkania. Był to jeden pokój z kuchnią. Stały w nim dwa łóżka małżeńskie, szafki nocne, stół, krzesła i nic więcej. W pokoju tym była właścicielka, jej córka Zuzia i mężczyzna. Poczęstowano nas obiadem, a po obiedzie czekoladą, której nie jadłam od czterech lat. Spragnione, nie mogłyśmy powstrzymać się od jedzenia. W mieszkaniu było bardzo ciepło, zachciało nam się spać, ale poprosiłyśmy, żeby zaprowadzono nas do kościoła. Był to dla nas ważny moment, ponieważ wkraczaliśmy do boju o Wał Pomorski, a na wojnie różnie bywa. Po wypowiedaniu się wróciłyśmy do domu. Łóżka były posłane czystą, białą pościelą, na nich leżały nocne jedwabne koszule. Wstydziliśmy się rozebrać, bo miałyśmy wszy. W kuchni stała blaszana balia z ciepłą wodą. Gospodyni po kolei nas myła i za-

11/42

raz, w te cudowne, jedwabne koszule kazała nam się ubrać i pod pierzynę. To przeszło nasze najśmielsze oczekiwania, tym bardziej, że ten pan usiadł na poręczy łóżka i grał nam na skrzypcach. Jak się rozgrzałam zaczęłam okropnie kasłać. Gospodyni nagotowała cebuli z cukrem i tak mnie ratowała. Usnęliśmy. Rano zastałyśmy nasze mundury wyczyszczone, buty wysuszone. Zawszoną bieliznę gospodyni spaliła. Raptem - niesamowity łomot do drzwi. Otworzyła gospodyni i prosi: *Proszę pana, proszę cicho mówić, bo dziewczęta jeszcze śpią!* Szef wrzeszczał, a jak nas zobaczył w tych nocnych koszulach, oszalał ze złości. Nigdy nie ubrałyśmy się tak szybko, jak wtedy. Kompania czekała tylko na nas. Wybiegłyśmy rozgrzane, wymyte, w czystych koszulach, skarpetach, z szalikami i pękatymi plecakami. W moim był sok malinowy przeciw zaziębieniu i zdjęcie Zuzi. Pielęgnuję je jak relikwie, bo w tym domu odczułam matczyne ciepło. Wspomnienie tej nocy zachowałam do dziś. Szłyśmy kilka minut w ciszy. Każda z nas myślała o przespanej wspaniałej nocy, o cudownych kobietach. Tyle życzliwości, ile nam okazali ludzie na Kujawach, nigdzie w kraju nie doznałyśmy.

Wkraczamy do Bydgoszczy. Noc nas wygania, noc nas zastaje. Na nowym miejscu rozwijamy tylko radiostację, zasięg dziecienny - na takim sprzęcie walczyliśmy. Małe postoje są wykorzystywane do reparaacji kabla, izolacja goni izolację, tak że słyszalność jest byle jaka. Ale już zaczynamy zdobywać kabel niemiecki, prawie nowy. Radość.

Wał Pomorski, okropne boje. Łączność musi być bardzo sprawna, przerwy szybko naprawiane. Bardzo często prowadziłam rozmowy po indukcji i tłumaczyłam oficerom meldunki. Nie myślałam, że mogę zginąć. Nie przychodziły mi takie myśli do głowy, nie było na to czasu.

Wkroczyliśmy na tereny niemieckie. Ogromny plac, na nim około 1500. niemieckich żołnierzy, wziętych do niewoli. Oficer niemiecki odliczał 1,2,3,4 i z dokładnością niemiecką ustawiał żołnierzy. Tam pierwszy raz zobaczyłam niemieckie dziewczyny w mundurach.

Pamiętam też, że znaleźliśmy się w okrążeniu. Niemcy w tym czasie zażarcie walczyli, a byli z wyborowych jednostek. Wyszliśmy cało. Idziemy dalej, zatrzymujemy się we wsiach, otwieramy chlewy, obory, kurniki, wypuszczamy wszystko, co w nich żyje. Ponuro wyglądają wsie i miasteczka prawie puste, tylko na szosach wozy z uciekinierami, w rowach na materacach, pod pierzynami, ułożeni starcy. Nie byli w stanie iść z młodszymi. W lasach świnie i krowy. Przy miedzach - zabici żołnierze, rozdęte kadłuby ludzkie. Miałam zaledwie 19 lat, a śmierć, okropności wojny, już nie robiły na mnie takiego

wrażenia, jak pierwszy bój i pierwsi zabici. Byliśmy tak okropnie zmęczeni.

Pamiętam, mieliśmy okopy przy niemieckim kościele. Noc była zimna, padał drobny deszcz. Miałam wtedy dyżur na kontrolce. W okopie byli chłopcy z innych pułków, a mnie tak się spać chciało, że nogi w kolanach ugiwały się i za chwilę spałam twardym snem. Kolega złapał mnie za kołnierz płaszcza i krzyknął: *Nie śpij!* Nie mogłam doczekać się zmiany, aby zejść ze stanowiska i znaleźć się w naszej centrali.

Najbardziej nie lubiliśmy ognia szrapnelowego. Kiedy leciały normalne bomby, to wiedzieliśmy, jak reagować. Leżałam wtedy na plecach i obserwowałam jak pocisk spada z samolotu, a pocisk szrapnelowy rozsypuje się na małe kulki i razi nie jednego, lecz wielu.

Zimno było jeszcze okropnie, stale w boju, marsze po 30 km. Dochodzimy do Kamienia Pomorskiego. Straszna wiadomość przez telefon i radio. Niemcy spalili w stodole 32. żołnierzy złapanych w zasadzce. Nasi chłopcy z 1. Dywizji zostali skrępowani drutem kolczastym, stodołę oblaną benzyną, podpalili. Żywcem spalili młodych chłopców. Nie doczekali tak bliskiego końca wojny. Było to we wsi Podgaje. Jest tam teraz pomnik w kształcie płomienia, a na nim wypisane nazwiska tych okrutnie zamordowanych chłopców. Po latach byłam tam trzy razy. Jak oni musieli cierpieć.

W Kamieniu Pomorskim złapano do niewoli niemieckiego oficera. Był zamknięty w chlewiku. Nosiłyśmy mu jedzenie.

Dochodząc do jakiegoś majątku widzieliśmy w rowie leżących wielu chłopców. Zapamiętałam jednego z nich. Leżał na wznak z głową opartą o mostek. Wyglądał jak gdyby spał, tylko ze skroni ciekła mu krew. Był bardzo młody. W majątku rozlokował się sztab 2. DP. Z cywilów nie było nikogo. Same musiałyśmy doić krowy, karmić bydło. Pierwszy raz w życiu doiłam krowę. W tymże majątku pod Kamieniem Pomorskim obchodziliśmy Święta Wielkanocne.

Spod Kamienia Pomorskiego wychodzimy w kierunku Odry. Już wiadomo, że niedługo skończy się wojna i tak nie chciało się nam umierać. A tu ciężki marsz, rozwijanie linii telefonicznej, naprawianie jej. Trzeba było znać teren, w którym rozwijało się kabel. Ile było strachu, kiedy byłam sama, a musiałam odszukać zerwaną linię. Jeden koniec znalazłam, drugi wisiał na drzewie. Szybko naprawiłam, było połączenie. Mordercza służba, nie ma wytchnienia. Jestem z koleżanką na pierwszy rzut, dwie jeszcze na miejscu. Wkrótce Stenia zachorowała, zostałyśmy tylko trzy: ja, Janeczka i Gienia. Mnie zawsze wysyłano, po raz niewiadomo który, na zorganizowanie łączności z żołnierzami przy sztabie dywizji. Zawsze był przy mnie Wacek Ka-

czan, cudowny, bezinteresowny. Pomagał mi we wszystkim. Jeżeli była gdzieś zerwana linia, starał się mnie podmienić. Nie mogę go odnaleźć, a tak bym chciała serdecznie mu podziękować za cudowną, braterską pomoc, kiedy było mi bardzo ciężko. Nieraz byłam dla niego przykra, że jest taki opiekuńczy. Nie interesował mnie nikt, prócz Ludgarda Szelewicza i wszyscy w kompanii o tym wiedzieli.

Na Wale Pomorskim było bardzo niebezpiecznie. Jakoś nie bałam się, bo zdążyłam przyzwyczać się do rozrywających się pocisków. Najbardziej nie lubiłam być w mieście, czy na wsi. Każdy dom przynosił strach. Były wypadki, że na drzwiach mieszkań były zawieszane granaty, czy też podkładane w skrytych miejscach. Dowódca Danielski rozkazywał wtedy rozłokowywać się na noc pod wsią, czy miasteczkiem. Było nam okropnie zimno, bo był to marzec jeszcze, bardzo zimny. Nieraz spało się nawet w marszu. Trudno sobie wyobrazić, że można spać, idąc.

O zabitych kolegach dowiadywałyśmy się pierwsze. Był to „przywilej” łącznościowców. Smutek wtedy panował w całej kompanii. Obsługa radiostacji o bardzo małym zasięgu wymagała naszego wielkiego wysiłku. To była straszna służba. Kiedy zbliżała się wiosna, wszyscy chcieliśmy żyć już ostrożniej i baczniej rozciągaliśmy linię, i jak trzeba było, reperowaliśmy ją. Wymarsz na forsowanie Odry był już na rowerach. Ja dostałam damkę, ciężką, ale nie musiałam iść na piechotę. Nie zawsze jechało się szosą. Były i leśne drogi, piaszczyste, wyboiste, pod górę. Do kanału Rupin już idziemy piechotą. W nocy ogromny bój. Zginęło wielu naszych chłopców, wśród zabitych byli nasi zwiadowcy, z którymi cały czas szliśmy. Wszystko działało się błyskawicznie. Niemcy przerwali nasze natarcie. Nikt się tego nie spodziewał. Kpt. Danielski rozkazał znieść łączność do piwnicy, a ja tak nie lubiłam piwnic, bałam się, wołałam otwartą przestrzeń. Z linii przyszła Helena Bednarska-Danielska, dowódca plutonu męskiego naszej kompanii. Bardzo zmęczona zasnęła na górze. Kiedy obudziła się, była przerażona, bo my zapominając o niej, przenieśliśmy się z centralą. Była to dzielna dziewczyna, dowodziła dwudziestoma mężczyznami.

Dochodzimy do Odry. Ja jestem przy dowódcy Surżycu. Był głuchy, jak pień. Jestem na punkcie obserwacyjnym razem z dowódcą dywizji, z Wackiem Szlichterem i kilkoma zwiadowcami. Punkt usytuowany na wysokim brzegu Odry, transzeje dochodzą do lasu. Prowadzimy obserwację Niemców. Ogniem kierują oficerowie sztabowi, Nasik i Taran. Łączność z pułkami musiała być bardzo sprawna. W transzejach - łącznościowcy na kontrolkach. Biegnać okopem do

11/45

lasu spotkałam dowódcę mojej baterii Artura Duszewskiego i dowódcę 2. PAL-u, płk. Czaplewskiego, z laseczką. Był ranny w nogę.

Kiedy ruszyło natarcie zwiijałam linię z Wackiem Kaczanem. Było ciepło, umyłam się w Odrze. Coraz bliżej końca wojny, tylko bardzo niebezpiecznie. Niemcy, którzy zostali rozbici i nie mogli znaleźć swojej jednostki, kryli się po lasach. Szukając pożywienia podchodzili do wiosek. W jakiejś miejscowości rozwijałam łączność w karczynie. Chłopcy krzyczą: *Hanka, rozstawiaj centrale, my rozwijamy łączność do dowództwa!* Wpada zwiadowca z pytaniem, czy dom sprawdzony. Nie sprawdziłam. Poszedł na górę, po chwili sprowadza dwóch Niemców, bardzo młodych chłopców. *Widzisz – powiada, kolbą w łeb i już by ciebie nie było.* Wysłałam za tymi Niemcami. Stali bezradnie, przy nich oficerowie. Starszy poprosił o papierosa. Naturalnie podałam mu. Wdzięczności w jego oczach nie zapomnę. Od tego czasu zawsze sprawdzałam wszystkie zakamarki domów, do których wchodziłam. Piwnice u gospodarzy Niemców były pełne, mimo wojny. Nie musieliśmy chodzić po jedzenie do kotła, mieliśmy je ze słoików.

Męcząca droga, pada deszcz ze śniegiem, a tu trzeba rozwijać linię, kryć się przed bombardowaniem. Nasza dywizja, a właściwie 6. pułk wyzwała po drodze obóz. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci widokiem ludzi, podobnie, jak na Majdanku.

Już blisko Łaba. Ile dróg trzeba było przejść w boju, żeby dotrzeć do Łaby. Wszystko budzi się do życia, a po drodze tysiące zabitych naszych żołnierzy. Rozpaczaliśmy po każdym zabitym na Odrze. Tak blisko było końca męczarni.

Cudowny maj. Już kwitną czereśnie, coraz bardziej ciężko iść i walczyć, stać na warcie. Już inne myśli przychodzą do głowy, aby tylko dożyć, zobaczyć mamę, tatę i siostrę. Mama pisała, że tata jest z nimi. Został zwolniony z łagru w Tobolsku. Przyjechał do Kwitoka kiedy ja i Marysia poszłyśmy do wojska. Oni wciąż są jeszcze tak daleko na Syberii. Pisząc listy do nich pocieszałam, że niedługo zobaczymy się. Listy, które przychodziły od mamy, były pełne obawy, abym nie zginęła ja i Marysia. Prosiła: *Strzeżcie się kul.* Pisała, że modli się o nas i o Zbyszka, który był w armii Andersa. Nie wiedziała jeszcze, że straciła go już w marcu 1943 r.

Zatrzymujemy się na Łabie, w małej wiosce. Pewnego poranka, kiedy z Gienią Szlezak zmęczone szłyśmy do wsi, w której trzeba było przygotować łączność dla dowództwa dywizji, słyszymy bardzo niewyraźnie w radiu, że koniec wojny, czy kapitulacja. Nie zwróciłyśmy na to uwagi. Dowódca łączności, Kukurudza zatrzymuje nas i powiada, że dziś nie rozwijamy łączności; działamy tylko przez radio. Wtem sły-

II/46

szymy, że dziś Niemcy podpisali kapitulację. Koniec wojny! Nadeszła upragniona chwila, ale jeszcze niezupełnie dociera to do nas. Jesteśmy bardzo zmęczone, głodne, nie umiemy się cieszyć. Dopiero po chwili dotarło do nas, że to naprawdę koniec wojny, koniec zabijania. Siedząc na centrali w pięknej willi, gdzie gałąź kwitnącej wiśni wypełniała okno, już nie strzelano do ludzi, strzelano na wiwat. Wtedy moje myśli były tak daleko, przy moich rodzicach i siostrze Teresie. Widziałam nasze baraki, cmentarz w tajdze, na którym została Elżunia i babcia, mamę, która w ważnych chwilach stawała w okienku baraku i patrzyła. I teraz też pewnie tak stoi, myśli o nas, o dzieciach. W myślach pisałam list do matki, z którą byłam tak mało, a którą tak kochałam.

Wracamy znad Łaby przez Kotbus do Koźła. Dostałam dwutygodniowy urlop. Pierwsze kroki skierowałam do Warszawy, do ciotki Stefy i do Reni. Radości było co niemiara. Potem pojechałam do Józefina. Robiło się już szaro, kiedy dojechałam do Łap. W wagonie – rozmowy o wojnie. Byłam w mundurze. Kiedy wysiadłam, jakiś mężczyzna wziął mnie za rękę i powiedział, że do Józefina teraz nie pójdę. Zachnęłam się, że poucza mnie jakiś cywil. Okazało się, że to milicjant. Wyjaśnił mi, że nawet do szosy bym nie doszła – dostałabym się w ręce podziemia. Przenocowałam na posterunku. Rano pobiegłam przez Daniłowo, potem polną drogą, do Poświętnego, do księdza Idzkowskiego. Była tylko gospośia. Przyjęła mnie chłodno. Poszłam do kościoła. Ksiądz skończył poranną mszę. Wyszłam mu naprzeciw. Nie poznał mnie, ale po chwili, kiedy się roześmiałam, krzyknął: *Haneczka z Józefina!* Poszliśmy na plebanię. Ksiądz powiedział, że wieczorem może przyjść grupa chłopców z podziemia. Prosił, abym nic nie mówiła. Ale kiedy zaczęli wyśmiewać się z moich guzików, że na nich nie orły, tylko wrony – nie wytrzymałam. Na szczęście poznał mnie Janek Łapiński i wtedy się uspokoili. W niedzielę ksiądz zamówił furmankę i pod pozorem wizyty u chorego odwiózł mnie na stację do Łap. Pożegnałam się z księdzem, stoję na peronie, a cała grupa tych chłopaków jest koło mnie. Struchlałam. Wiem, że między nimi był Huzar, przywódca całej opozycji. Wsiadliśmy do pociągu. Dojechałam spokojnie w towarzystwie tych panów.

Do jednostki wróciłam już po tygodniu. Wszyscy się dziwili. Opowiedziałam kolegom o swoim urlopie. Myślałam, że po wojnie będzie inaczej.

W sierpniu, przez Kielce, Chęciny, jedziemy do Radomia. Tam 26. lutego 1946 r. demobilizuję się. Żegnam się z kolegami. Płaczymy.

Na Wielkanoc 1946 r. wracają z Syberii rodzice z Teresą. Na Boże Narodzenie wychodzę za mąż za Ludgarda Szelewicza, majora WP.



II/47

W 1947 urodziłam córkę Wandę. Męża przenoszą do Giżycka. Ja też nie chcę być bezczynna. Zapisuję się do Ligi Kobiet. Pracuję w komisji społecznej. Jeżdżę z lekarzami po wsiach, wykrywamy gruźlicę, prostytutkę, analfabetyzm. Zakładamy koła gospodyń wiejskich. W swoim, dosyć dużym domu, zakładam przytułek dla ludzi starych, porzuconych przez rodziny. Wszystko to toleruje mój mąż.

Wojna, niestety, daje znać o sobie. Zachorowałam na płuca. Jadę do Otwocka na leczenie. Wandeczkę zabiera do Pomiechówka moja ukochana mama. Tam, po powrocie z więzienia i Syberii, zaczął pracę mój ojciec. Pojechałam do sanatorium w Otwocku na 28 dni, a przeleżałam 3 lata. Lekarstw nie było. Myśl o córeczce i Ludgardzie pomagała mi przezwyciężyć gruźlicę. Tak chciałam wtedy żyć. Mąż sprowadził mi lek ze Szwajcarii. W 1951 r. wychodzę z Otwocka z odmą, którą muszę dopełniać co 5-6 dni, i podejmuję pracę w Ministerstwie Przemysłu Maszynowego. Pracowałam tylko rok, bo męża znów przenoszą. Tym razem do Grudziądza. Rozpoczynam pracę społeczną w szkole, do której chodzi córeczka. I tak przez 10 lat.

W 1955 r. urodziłam syna Sławka. Lekarze byli przeciwni, ale ja tak bardzo chciałam mieć jeszcze jedno dziecko. W 1963 r. męża przenoszą do Warszawy. Tu też zaczynam pracę społeczną, w Zarządzie Głównym ZBoWiD, w komisji ds. współpracy z młodzieżą. Zaczynam myśleć o swoim wykształceniu. Zdaję egzamin wstępny do Technikum Ekonomicznego. Wybierają mnie na przewodniczącą komisji kulturalnej i starostą na całe 5 lat. Ucząc się, pracuję zawodowo i społecznie. Jestem sekretarzem koła kombatanckiego i prowadzę dom. Po pięciu latach nauki i zdaniu matury otrzymałam dyplom ukończenia technikum i dyplom uznania za pracę społeczną.

W 1975 r. mój mąż zachorował na raka. Zmarł w 1976 r. Nie zobaczył swoich wnuków. Skończył się cudowny okres naszego rodzinnego życia.

Od kilkunastu lat jestem rencistką. Cały czas pracuję społecznie w Lidze Kobiet i w środowisku kombatanckim, jako sekretarz koła na Ochocie. Podjęłam też działalność społeczną jako członek Zarządu w Zespole Kombatantek 1. i 2. Armii WP przy Zarządzie Głównym Związku Kombatantów RP i BWP. Rozwijamy pracę z kombatantkami w całym kraju i z Fundacją gen. Elżbiety Zawackiej: *Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służby Polek* w Toruniu.

Tak upływa moje życie. Jestem sama, ale nie samotna. Mam cudowne dzieci i trzech wspaniałych wnuków. Mam powód do dumy.

wycinek prasowy

J. Reulkiem'ez - Frontowa miłość (Henka Szeleniez, Ladgard)  
Żołnierze Wolności Nr 17, 1974r. 17-18<sup>v</sup>, k. 2



JOHN FIP

Rok 1943. Na wieść o tworzeniu się naszego wojska ze wszystkich zakątków ZSRR ściga ją do Sielc Polacy. Wśród nich jest 18-letnia Hanka Pawłowicz i Ludgard Szelewicz.

Młody, walczący dotychczas w szeregach Armii Czerwonej, kapitan Szelewicz zostaje pomocnikiem szefa sztabu 2 Pułku Artylerii Lekkiej 2 DP im. Henryka Dąbrowskiego. Hanka zaś, przydzielona do baterii sztabowej, przechodzi intensywne przeszkolenie rekrucie.

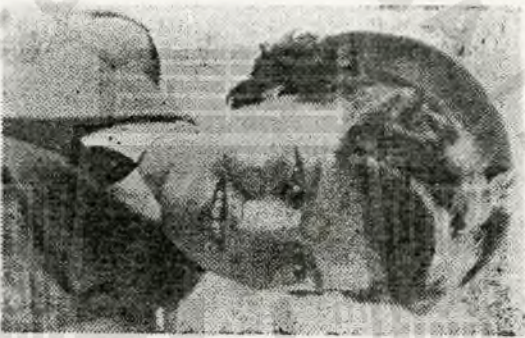
swych wyzwolicieli z orzekania na czapkach.

### Ludgard! Odstrzelono!

Ledwie udało im się wyrwać z objęć szerszeliwych kulblindaków i już za miastem musieli przystąpić do kolejnego zadania bojowego. Po kilkunastogodzinnym ogniu PAL do uciekających oddziałów niemieckich telefonistka Hanka po raz ostatni tego dnia wywołała sztab pułku i zameldowała: „Ludgard! Odstrzelano!”.

### Czekolada

Kapitan Szelewicz wiedział wcześniej, że 26 lipca wypadają imieniny czarownicowej tele-



**A**RTYLERYSKIE przygotowanie natarcia oddziałów Armii Czerwonej w Turli nad Bugiem 18 lipca 1944 roku było chrztem bojowym 2 PAL. Telefonistka — kan. Pawłowicz sprawnie prowadziła sztab pułku z radzieckim dowódcą. Kapitan Szelewicz znalazła już wówczas dobrze z widzenia, korciło ją jednak, żeby, przekazując rozkazy i wiadomości, wypowiadając nieprzeprzysowe: obywatelu kapitanie, ale jego imię — Ludgard — które spodobało jej się od razu.

26 lipca oddział wkraczał do wolnego Lublina. Przed miastem dowódca zarządził mycie, prasowanie mundurów i ogólny przegląd. Ale trzeba było przejechać jeszcze kilka kilometrów odkrytymi samochodami po zakurzonych, polnych

**Cały jej majątek to mundur i zdobywczy kapeluszek z piórkami.**

drogach i żołnierze dotarli do Lublina znów okropnie brudni. Nie zdążyli to jednak zmniejszyć entuzjazmu mieszkańców miasta witających

fonistki. Udało mu się skombinować tabliczkę czekolady. Włożył ją do kieszeni munduru. Jednakże forsowny marsz na miasto i popołudniowa karnonada nie stwarzały sytuacji sprzyjającej jego planom. Dopiero, gdy niespodziewanie u-

łyszał w słuchawkach swoje imię, z błyskawicznym, jak przystało na frontowego oficera, reflekssem, zaproponował Hance spacer. Po chwili, gdy już zili razem polną ścieżką, przyroniał sobie o prezencie. Siegnął do kieszeni bluzy i ku swemu przerażeniu zobaczył, że czekolada roztopiła się zupełnie — dzień był wyjątkowo gorący.

### Rozstanie

Idylla trwała krótko. Już na początku stycznia 1945 roku Hanka została przeniesiona do sztabu dywizji. Rozmawiała wprawdzie często z Ludgardem przez telefon, ale widywali się bardzo rzadko. Po tygodniu gońiec, który przychodził z PAL do sztabu dywizji przyniósł list od kapitana. Oddał go i stoi. — Czego chcesz? — spytała Hanka. — Czekam na odpowiedź. — O tego czasu przywali do siebie codziennie. Prawie cała korespondencja przechowywała się do dzisiaj.

### Leśniczówka

W słońcu miała się ku końcowi. Niedobitki armii hitlerowskiej

blaknęły się po lasach, atakując zniemaczone pojedyncze grupy żołnierzy polskich i radzieckich. Hanka przeżyła chwilegrozy pod koniec lutego 1945 roku po przełamaniu przez Pomorskiego. Z kilkoma koleżankami zajęła kwaterę w les-

niczówce. Nagle do budynku wpadł zwiadowca i krzyknął — Niemcy!

Z lasu wyrnużyła się sporgrupa uzbiorzonych po zęb hitlerowców. W walce Polacnie mieliby zadnych szans. Wycofali się więc szybko na piętro leśniczówki. Najmniejszy hałas mógł ich zdradzić. Niemcom chodziło nieszczęście tylko o zywności. Odeszli więc po chwili. Chwilta jednak była dla uwiecznionych na piętrze jedna z najdłuższych w życiu.

### Walizki

Pod Kamieniem Pomorskim w kwietniowe południe 194 roku Szelewicz, awansowan już na majora, dostał rozkaz przedstawienia swego sztabu i inne miejsce. Jechali olbrzymim Studebakerem — trzy buda sztabowa, droga wiodła przez las. Postanowili jednak skrócić nieco marszrutę po krótkim namyśle wyruszyli nową trasą za wozem zwiadowczym przerobionym z zdobywczej niemieckiej samarkki. Las skończył się nagle z przodu doszły ich odgłos zaszarnej strzelaniny. To ic wóz zwiadowczy wpadł w ni-

# 4 HORYZONT

17-18 MAJA ŻOŁNIERZ WOLNOŚCI NR 117

1974 vol

ki. Udało mu się skom-  
wać tabliczkę czekolady.  
Wtężył ją do kieszeni mundu-  
rki i popopłudniowa ka-  
da nie stwarzały sytuacji  
jajęcej jego planom. Do-  
wodził, gdy niespodziewanie u-

blakaty się po lasach, atakując  
znenacka pojedyncze grupy  
żołnierzy polskich i radziec-  
kich. Hanka przeżyła chwile  
grozy pod koniec lutego 1945  
roku po przełamaniu Wału Po-  
morskiego. Z kilkoma kole-  
żankami zajęła kwaterę w les-

spodziewaną pułapkę. Na  
otwartym polu nie mogli na-  
rechmiać zawrócić, chcieli też  
pomóc swoim zwiadowcom.  
Dojechali więc do nich, pod-  
osłona zabudowania zabrali  
rannych, zawrócili i nie mając  
innego wyboru — pełnym ga-

był mjr Szelewicz. Hitlerowie,  
widząc bezradność swej sy-  
tuacji, zmienili po kilkudnio-  
wych walkach kierunki ude-  
rzeń. Wszystkie swe siły skie-  
rowali ku zachodowi, by otwo-  
ryć sobie drogę do Laby, za  
którą byli Amerykanie.

# Frontowa

ł w słuchawkach swoje  
z byskawicznym, jak  
talo na frontowca i krzyknął  
refleksem, zaproponował  
e spacer. Po chwili, gdy  
zili razem polną ścieżką,  
romnił sobie o prezencie.  
ąd do kieszeni bluzy i ku-  
tu przetażeniu zobaczył,  
ekolada roztopiła się zu-  
e — dzień był wyjątkowo

niezłowce. Nagle do budynku  
wpadł zwiadowca i krzyknął  
— Niemcy!

I maja 1945 roku jeden z  
pododdziałów 2 PAL został  
zakwaterowany na skraj woski  
laniem przez silyn ogień dobrać  
organizowanej obrony. Wszy-  
scy zorganizowali się, że Niem-  
cowi, uzbójcy wprawdzie  
w karabinny maszynowe i pan-  
cerlastry, nie jest wielu, ale  
nie chcą umierać, szcze-  
gólnie teraz, tuż przed uprag-  
mioną metą zwycięstwa. Nad-  
jechali opancerzone działa sa-  
mochodowe i po chwili kilkun-  
siru niemieckich desperatów  
maszerowało do niewoli z rę-  
kami podniesionymi do góry.

ła trwała krótko. Już na  
tku stycznia 1945 roku  
a została przeniesiona do  
u dwurzędzi. Rozmawiała  
wzięło często z Ludgardem  
telefon, ale widywali się  
o rzadko. Po ugodniu go-  
który przychodził z PAL.  
tabu dywizji przyniósł list  
płtana. Oddał go i stoi. —  
) chcesz? — spytała

Pod Kamieniem Pomorskim  
w kwietniu południe 1945  
roku Szelewicz, awansowany  
już na majora, dostał rozkaz  
przeniesienia swego sztabu w  
inne miejsce. Jechali olbrzy-  
mim Studebakerem — tzw.  
budą sztabowa, droga wioda-  
ca przez las. Postanowili jed-  
nak skrócić nieco marszrutę i  
po krótkim namyśle wyruszyli  
nową trasą za wozem zwi-  
adowym przereobionym ze  
zdobyczej niemieckiej sani-  
tarki. Las skończył się nagle i  
z przodu doszły ich odgłosy  
zaczętej strzelaniny. To ich  
wóz zwiadowczy wpadł w nie-

zem ruszyli w kierunku lasu.  
Niemcy strzelali wściekle. Po-  
ciski świszczały wokół. Nagle  
samochoodem rzuciło, ale nie  
przewrócił się i po chwili zna-  
lazł się w lesie. Tu już byli  
bezpieczni. Wyszli z szoferki,  
by zobaczyć straty. Dach budy  
sztabowej był pooranym odłam-  
kami. W jednym boku widać  
było większą wyrwę. Zajrzeli,  
do środka. Okazało się, że ni-  
komu nie stała się najmniejsza  
nawet krzywda. Jedynie ma-  
jor Szelewicz miał zmartwiona  
mine, kiedy ujrzał swą waliz-  
kę posiekaną przez odłamki w-  
drobne kawałki. Oprócz rzecz-  
ników i bielizny miał w niej  
kilka listów od Hanki.

Nie wszystkim jednak było  
dane doczekać końca wojny.  
— Na poczasku maja prze-  
ehodaliśmy przez pole minowe  
— wspomina Hanka — szliśmy  
wąską drogą tuż za wozami, na  
których były radiostacje i inny  
sprzęt łączności naszej dywizji.  
Najmniejsze nawet zboczenie z  
trasy groziło natknięciem się  
na miny. Nagle zauważyliśmy  
nadjeżdżający z przeciwną ga-  
zikiem z kilkoma radzieckimi żoł-  
nierzanami. Była wśród nich  
dziewczyna. Zbliżając się, nie  
zwołnili prawie wcale i mimo  
naszych rozpaczliwych znaków,

**Rozstanie**

**Walizka**

**Nikt nie chciał umierać**

**Miny**

Czekam na odpowiedź.  
tego czasu piswali do  
i codziennie. Prawie cała  
respondencja przechowa-  
do dzisiaj.

Do demobilizacji jeszcze kil-  
ka miesięcy. Przyzwyczaili się  
do tego, że nie muszą się trosz-  
czyć o ubranie i jedzenie —  
wszystko to dostawali w przy-  
dziale. Wracać? Tak, ale do-  
kąd? Rodziny w kraju nie  
mieli. Nie tak dawno przejeź-

Na przełomie kwietnia i ma-  
ja I Armia Wojska Polskiego  
ostaniała prawe skrzydło na-  
cierającego na Berlin i Frontu  
Białoruskiego przed atakami  
wojsk niemieckich, zdążają-  
cych z północy z odsieczką dla  
stolicy ginącej Rzeszy. Szcze-  
gólnie zaciekłe walki toczyły  
się nad kanałem Rupiner. W  
nieprzejacielu zasłuzyl się 2  
PAL pułkownika Czapliewskie-  
go. Dowódca sztabu tego pułku

Zluzowani przez radzieckie  
oddziały maszerowali na  
wschód. Wieczorem stanęli na  
kwaterach. — Centrali nie roz-  
stawiamy — powiedział szef  
łączności dywizji plk Kukuru-  
dza. Włączyli radio: „Dzisiaj,  
9 maja 1945 r., Niemcy podpisi-  
saly całkowitą bezwarunkową

**Leśniczówka**

**Koniec wojny**

**Spotkanie nd Łabę**

**Doczekaliśmy się  
zwycięstwa!**

**...! co dalej?**

**Dziś koniec wojny, zosta-**

**W**

działanie. Wracać? Tak, ale do-  
kąd? Rodziny w kraju nie  
mieli. Nie tak dawno przejeź-

Wieczorem dowódca PAL  
zorganizował kolację. Siadali  
do stołów, gdy niespodziewana  
kanonada poderwała ich z  
miejsce. Zapomnieli o najważ-  
niejszym. Dowódca wydał  
rozkaz: „Wszyscy przed rozpo-  
zczeniem kolacji — do dywizjo-  
now! Wydać po pełnym maga-  
zynku i oddać salwy honoro-  
we!” Potem wrócili i uctowa-  
li do samego rana. Niczego im  
nie brakowało.

Do demobilizacji jeszcze kil-  
ka miesięcy. Przyzwyczaili się  
do tego, że nie muszą się trosz-  
czyć o ubranie i jedzenie —  
wszystko to dostawali w przy-  
dziale. Wracać? Tak, ale do-  
kąd? Rodziny w kraju nie  
mieli. Nie tak dawno przejeź-

Wieczorem dowódca PAL  
zorganizował kolację. Siadali  
do stołów, gdy niespodziewana  
kanonada poderwała ich z  
miejsce. Zapomnieli o najważ-  
niejszym. Dowódca wydał  
rozkaz: „Wszyscy przed rozpo-  
zczeniem kolacji — do dywizjo-  
now! Wydać po pełnym maga-  
zynku i oddać salwy honoro-  
we!” Potem wrócili i uctowa-  
li do samego rana. Niczego im  
nie brakowało.

Do demobilizacji jeszcze kil-  
ka miesięcy. Przyzwyczaili się  
do tego, że nie muszą się trosz-  
czyć o ubranie i jedzenie —  
wszystko to dostawali w przy-  
dziale. Wracać? Tak, ale do-  
kąd? Rodziny w kraju nie  
mieli. Nie tak dawno przejeź-

Wieczorem dowódca PAL  
zorganizował kolację. Siadali  
do stołów, gdy niespodziewana  
kanonada poderwała ich z  
miejsce. Zapomnieli o najważ-  
niejszym. Dowódca wydał  
rozkaz: „Wszyscy przed rozpo-  
zczeniem kolacji — do dywizjo-  
now! Wydać po pełnym maga-  
zynku i oddać salwy honoro-  
we!” Potem wrócili i uctowa-  
li do samego rana. Niczego im  
nie brakowało.

działanie. Wracać? Tak, ale do-  
kąd? Rodziny w kraju nie  
mieli. Nie tak dawno przejeź-

działanie. Wracać? Tak, ale do-  
kąd? Rodziny w kraju nie  
mieli. Nie tak dawno przejeź-

Wieczorem dowódca PAL  
zorganizował kolację. Siadali  
do stołów, gdy niespodziewana  
kanonada poderwała ich z  
miejsce. Zapomnieli o najważ-  
niejszym. Dowódca wydał  
rozkaz: „Wszyscy przed rozpo-  
zczeniem kolacji — do dywizjo-  
now! Wydać po pełnym maga-  
zynku i oddać salwy honoro-  
we!” Potem wrócili i uctowa-  
li do samego rana. Niczego im  
nie brakowało.

Do demobilizacji jeszcze kil-  
ka miesięcy. Przyzwyczaili się  
do tego, że nie muszą się trosz-  
czyć o ubranie i jedzenie —  
wszystko to dostawali w przy-  
dziale. Wracać? Tak, ale do-  
kąd? Rodziny w kraju nie  
mieli. Nie tak dawno przejeź-

Wieczorem dowódca PAL  
zorganizował kolację. Siadali  
do stołów, gdy niespodziewana  
kanonada poderwała ich z  
miejsce. Zapomnieli o najważ-  
niejszym. Dowódca wydał  
rozkaz: „Wszyscy przed rozpo-  
zczeniem kolacji — do dywizjo-  
now! Wydać po pełnym maga-  
zynku i oddać salwy honoro-  
we!” Potem wrócili i uctowa-  
li do samego rana. Niczego im  
nie brakowało.

Do demobilizacji jeszcze kil-  
ka miesięcy. Przyzwyczaili się  
do tego, że nie muszą się trosz-  
czyć o ubranie i jedzenie —  
wszystko to dostawali w przy-  
dziale. Wracać? Tak, ale do-  
kąd? Rodziny w kraju nie  
mieli. Nie tak dawno przejeź-

Wieczorem dowódca PAL  
zorganizował kolację. Siadali  
do stołów, gdy niespodziewana  
kanonada poderwała ich z  
miejsce. Zapomnieli o najważ-  
niejszym. Dowódca wydał  
rozkaz: „Wszyscy przed rozpo-  
zczeniem kolacji — do dywizjo-  
now! Wydać po pełnym maga-  
zynku i oddać salwy honoro-  
we!” Potem wrócili i uctowa-  
li do samego rana. Niczego im  
nie brakowało.

działanie. Wracać? Tak, ale do-  
kąd? Rodziny w kraju nie  
mieli. Nie tak dawno przejeź-

# Wojna i ludzkie sprawy

cy się zatrzymali, zaczęli nas wymijać. Błysk i huk. Gazik wypadł na pierwszą minę, przejechał jeszcze z rozpedu kilka metrów, ostatecznie na następnej — najcięższym strzelił w powietrze potworzym słupem ognia. Poszarpani w kawalki

kapitulację. Skończyła się wojna! — usłyszeli z głosników. W sadzie wili, która zajęła, kwitły wiśnie.

dział przeciw przez Polskę — same gruz. — Warszawę nie odbuduje się i za dwadzieścia lat — myśli.

## 11/49 Sukienka

Hankę zwołano do cywila w Radomiu w lutym 1946. Cały jej majątek to mundur i zdobyty kapelusz z piórkiem. Inne dziewczęta chodziły w stroje w piękne sukienki i pantofle „korki” — bardzo wówczas modne. Po kilku miesiącach Hanka też zdobyła wymarzoną sukienkę, ale dużo trudniej było o buty — miała tylko służbowe oficerki. Do ślubu, który odbył się na Bo-

że Narodzenie 1946, stawiała się więc w mundurze.

Pani Hanka i pułkownik Ludgard Szelewiczowie lubią wspominać. A teraz pytanie? Mieszkają w odbudowanej i co dnia piękniejszej Warszawie. Wanda, ich córka, skończyła rusycystykę i ma już własną rodzinę. Syn Sławek studiuje na SGPIŚ.

Od końca wojny młoda trzdziesięć lat. Frontowa miłość trwa do dzisiaj. Była bowiem silniejsza od wojny.

# miłośność

Judzie, części samochodu, kierowca, który przed smiercią zdażył tylko powiedzieć: „A ja gawarzi, szrob nie jechat tuda” — sceny tej nigdy nie zapomnę.

## Spotkanie nd Łabę

W brzydki, deszczowy dzień 7 maja żołnierze przeprowadzili się łodziami przez Łabę, by powitać Amerykanów. Polacy zapropowowali sojusznikom mgone „skrety” z machorki. Amerykanie odmówili i z wyjątkiem wyciągniętej eleganckiej paczki papierosów, Nasi żołnierze unieśli się honorem.

— Machorka ma być gorsza od zamorskich luksusów? — I zapalili to, co towarzyszyło im przez całą frontową drogę: Amerykanie — papierosy, a Polacy — skrety.

## Koniec wojny

Zluzowani przez radzieckie oddziały maszerowali na wschód. Wieczorem stanęli na kwatery. — Centrali nie rozstawiamy — powiedział szef łączności dywizji płk Kukuru-dza. Włączył radio: „Dzisiaj, 9 maja 1945 r., Niemcy podpisały całkowitą bezwarunkową

— Dziś koniec wojny, zostawiamy centralę i łodziemy pić — pisała w swoim pamiętniku koleżanka Hanki — Stefania.

Wieczorem dowódca PAI zorganizował kolację. Siadali do stołów, gdy niespodziewana kanonada podrywała ich z miejsc. Zapomnieli o najważniejszym. Dowódca wydał rozkaz: „Wszyscy przed rozpaczeniem kolacji — do dywizjonów! Wydać po pełnym magazynku i oddać salwy honorowe!” Potem wrócili i uczuowali do samego rana. Nieznośnie brakowało.

## Doczekaliśmy się

zwyśleściwa!  
...i co dalej?

Do demobilizacji jeszcze kilka miesięcy. Przyzwyczaili się do tego, że nie muszą się troszczyć o ubranie i jedzenie — wszystko to dostawali w przydziale. Wracać? Tak, ale dokąd? Rodziny w kraju nie mieli. Nie tak dawno przejeź-



Frontowa miłość trwa do dzisiaj.

## IV Korespondencja

- 1) List Anny Rajewskiej dokumentalistki oż. Arch. WSK  
Toruń, dnia 16 II 2001 do Anny Elżbiety Szelentez, W-ka.  
(podziękowanie za przesłane materiały, informacja dot. zobowiązania  
teżbi osob. w. im. 2472/1786) rmps kopia k.1. s.1
- 2) Pocztaświadek z podziękowaniem od Anny Szelentez, 2001r. do A. Rajewskiej  
rmps oryg. k.1. s.2
3. Pocztaświadek z podziękowaniem, A. Szelentez, W-ka 8 II 2003r. do A. Rajewskiej  
rmps. oryg. k.1. s.3
4. List Anny Rajewskiej, Toruń, 5 IX 2012r. do Anny Szelentez  
rmps. ksero k.1. s.4
5. List Anny Rajewskiej, Toruń, 2 I 2013 do A. Szelentez W-ka  
rmps. ksero k.1. s.5-6

Toruń 16 II 2001 r.

Wk

Pani Anna Elżbieta Szelewicz

ul.

01-107 Warszawa

Kopia

1.dz.313 WSK 2001

odp. na 2.dz. 0173 WSK

Szanowna Droga Pani,

Z wielką radością odebrałam obfitą przesyłkę od Pani. Materiały są bardzo interesujące i cenne. Relacja rzeczowa, a zdjęcia frontowe piękne. Bardzo się cieszę z kontaktu z Panią i myślę, że będzie trwały. Pragnę poinformować, że w Archiwum WSK została założona Paniteczka osobowa o numerze inwentarza 2472/WSK. Wciąż mam w pamięci uroczystości w dniu 26 maja ub. roku w Zielonej Górze. Mam pamiątkowe zdjęcia wspólnie z K. Jodkowską, A. Żurawską, W. Byrską i Panią.

Pani Hanko, z uznaniem wspomina Panią Pani Profesor E. Zawacka gdy była w Warszawie w październiku. Dużo Jej pomagała Pani w wypisywaniu danych o VM z LWP. W imieniu p. prof. E. Zawackiej z całego serca dziękuję za wszystko, serdecznie pozdrawiam, życzę wiele zdrowia i pomyślności. Zapraszam do dalszej współpracy z naszym Archiwum.

Z wyrazami głębokiego szacunku

*A. Rojewska*

Anna Rojewska

Dokumentalistka Archiwum WSK





WARSZAWA  
Rynek Starego Miasta  
WARSAW  
Old Town Square  
WARSCHAU  
Marktplatz der Altstadt  
Fot. St. Jablonska.

10-ka 8.06.2003



Miła Pani Anulo!  
Dziękuję za miłe słowa  
i troskę o moje zdrowie  
już czuję się względnie  
dobrze. Ciężko mi zostało  
obniżone przez zmianę  
lekarstwa.

Pragnę mi b. że nie  
mogłam być w 2. Opłacie

ścisłam moim

Kauha Seelenpfer

Dr. Pani Anna  
Rojemaska



Toruń

© WYDAMNICTWO "FESTINA", TEL/FAX: (0-22) 842-54-53, DYSTRYBUCJA: "RAINBOWART", TEL: (0-22) 679-18-05, P. 363



**FUNDACJA**  
**GENERALA ELŻBIETY ZAWACKIEJ**  
ARCHIWUM I MUZEUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ  
ORAZ WOJSKOWEJ SŁUŻBY POLEK

10/4

Kopie

L. dr. 1205/csu-412/12

Toruń, dnia 5 IX 2012r.

Droga Haniu,

Wysyłam wykaz nazwisk kobiet-żołnierzy I i II ACP.  
Nazwiska te nie występują w naszych publikacjach.

Napisaniem biogramu o sp. Sabinie Chromińskiej,  
który znajdzie się w Buletynie Fundacji.

Dzkonitami do syna na ten numer od Ciebie ale nikt  
się nie odzywa. Nie wiem w którym roku wysłała za mgz,  
tej informacji brak. Może Tobie się uda nawiązać kontakt

aby nam przysłał nekrolog. Mam też prośbę, aby ten  
Buletyn otrzymała siostra, gdyż korespondencja do niej  
wniesu się do Fundacji (co jest z tym adresem?)

Liczę na kontakt, wszystko zwrócić co do  
materiałów znajdujących się w naszym Archiwum

Pozdnienia - Asia Rojewska

BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUŃ  
UL. PODMURNA 93  
TEL. 0048 56 65 22 186  
www.um.torun.pl/AK, www.zawacka.pl, fapak@wp.pl

KONTO:  
82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

KRS 00000 41692

Kopie

10/5

Toruń, dnia 2 I 2013r.

L. dz. 10/WSN-412/13

Pani Anna Szeleniec

ul.

01-107 WARSZAWA

Droga Heleno,

Wysyłam 25 relacji (kserokopii) Kobiet żołnierzy  
weteranów w I i II Armii Wojska Polskiego.

W dziale Archiwum WSK na przestrzeni lat 1997-  
do 2007r. wpłynęło ponad 1300 relacji. Dużo jest  
Twoje zasług, ale przede wszystkim sp. Trena

Królikowskiej. Większość zbiorów materiałów  
to są "suche" schematyczne relacje. Te wspomniane

booko eikowe są już opublikowane. Do proponowanej  
książki (zssici drukiej) Kobiet żołnierzy w I i II LWP

bookie naprosiły tylko o wyszukanie kompletne materiały  
nawet fotografie. Po Twoim telefonie, proszę abyś

coś wyszukała, rozmawiałam z Panią Karią Pliedziuska  
Torpuską, która przesłała mi, że masz szereg listów do  
naszej współpracy. Jesteśmy wdzięczni za wszelki trud

pozwól u pracy archiwalnej. Mam nadzieję, że możesz  
korzystać z tych zbiorów. Chwilowo są trudności  
finansowe, jeżeli chodzi o sporządzenie kopii.

Będę się starała sukcesywnie nadać dalsze materiały.

Wszystko w porządku. 41 numerów. Proszę abyś

przejrzała teraz te które wysyłam.

W/19

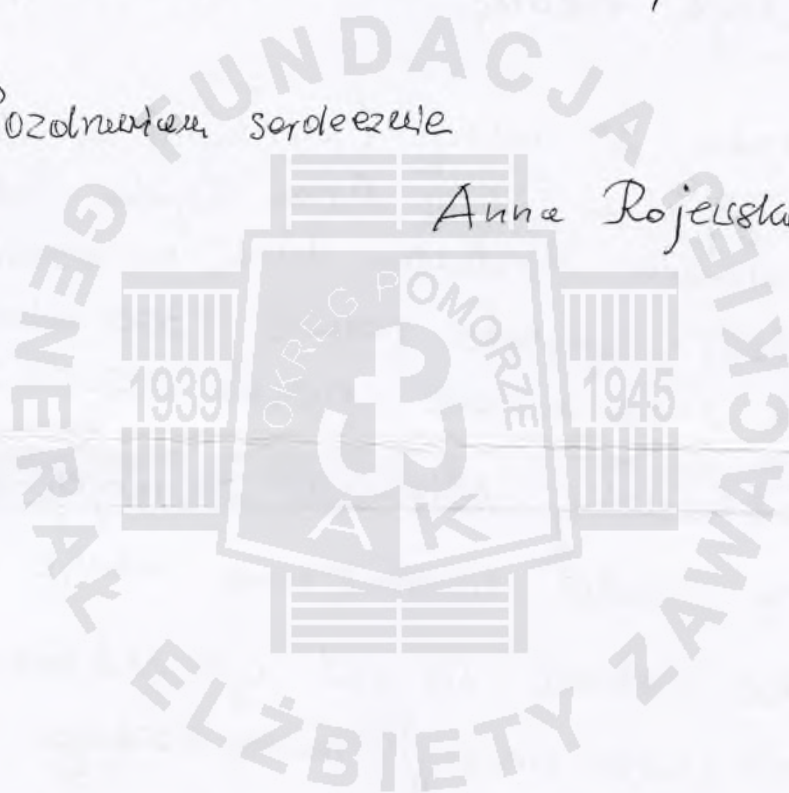
Kserokopie stanowią twardy kijek jak 200 stron.  
Hanezko, wiem że wpłacisz coś na okiełtanie Memoriału  
w Nowym Roku.

Będziemy w kontakcie, postaram się uzyskać i uzupełnić  
dalsze materiały.

Trudno jest odezwać niekiedy "gryzmoły" i odbitki są  
słabe.

Pozdrawiam serdecznie

Anna Rojewska

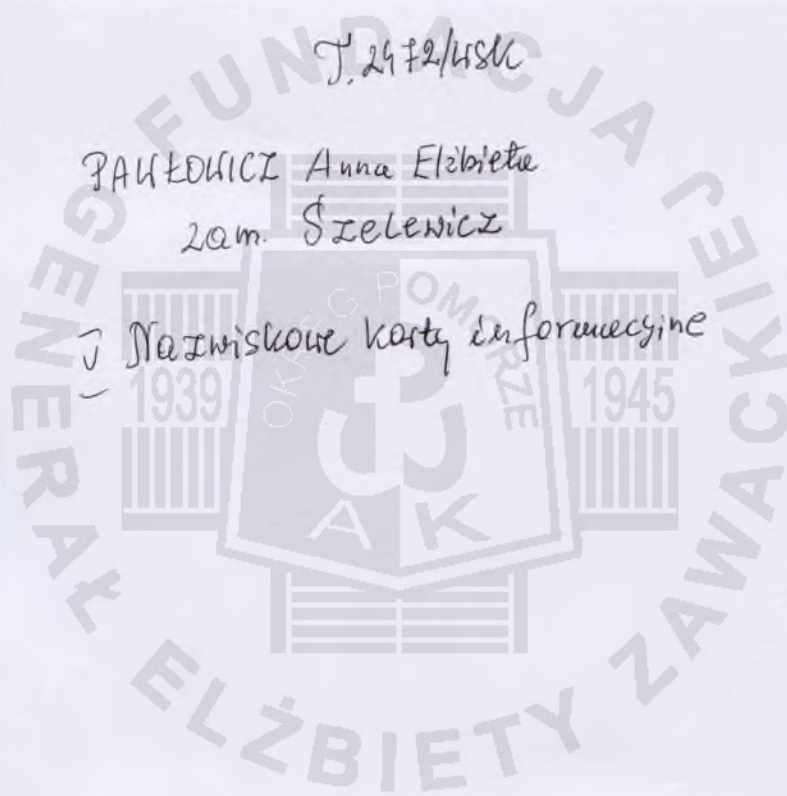


J. 2472/USK

L6P

PAKOWICZ Anna Elżbieta  
zam. Szelewicz

↳ Nazwiskowe karty informacyjne



1  
2 Fot.xero

T. 2472/WK  
ZSRR-LWP

SZELEWICZ Anna Elżbieta  
z d. Pawłowska

Zródka informacji:

Relacja własna  
Książeczka wojskowa nr 0111360  
Życiorys wojenny na 7 str.  
Zaświadczenie ZBoWiD nr383112.  
Książeczka odznaki honor. "Sybiraka"  
Legit. członk. "Sybiraków" nr. 8746/97  
2 wyciki z Prasy  
Korespondencja .

I.Król./01

Wa/

1945-1945

Warto

1000.00 zł

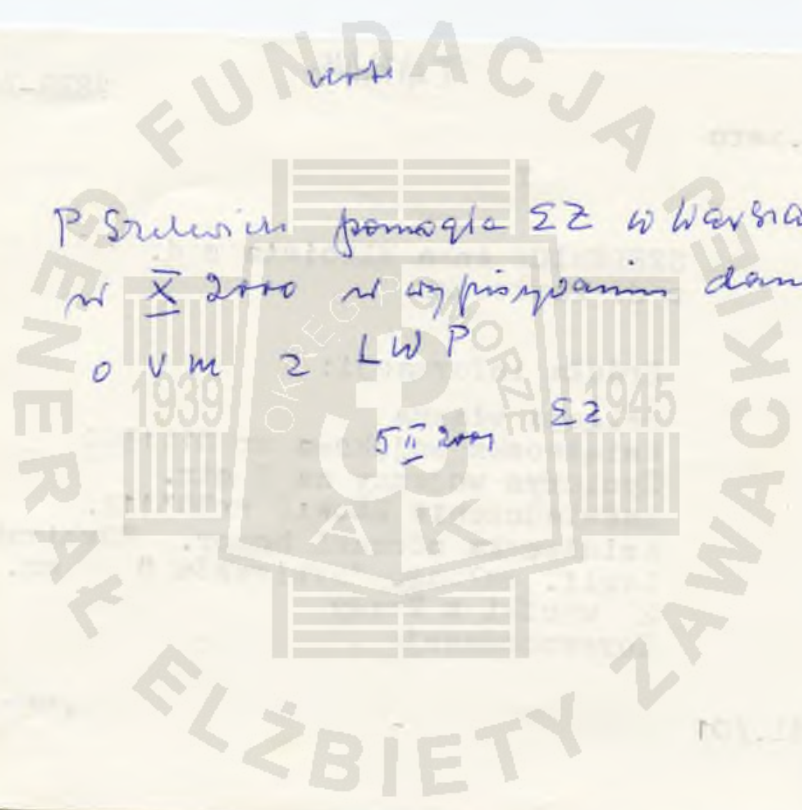
P. Sulewicz pomógł SZ w Warszawie

w X 2000 w wypracowaniu danych

o VM z LW P

5 II 2001

SZ 1945



1000.00 zł

T. 2472 IWSK

LWP

PAWEŁOWICZ Anna Elżbieta  
zam. Szelewicz

---

### VI. Fotografie

1. Zdj. w muszynie - fronslowe, Rembertów - 1944 r.,  
(9x13,8), szt. 1
2. Zdj. legitym. w muszynie - powięk., 1944 r., <sup>repr.</sup> (10x14) szt. 1



1. WSK - Teczki osobowe

2. T. 2472 / WSK

3. mępr., 9 x 13,8

4.

5. PANKOWICZ Anna Elżbieta  
22 m. Dzelewis

6. 1344 m. w Rembertowie

7. bralc

8. uwagi: Opis na odwrocie fot.  
kapral Hankis Pawłowicz

Na froncie: telefonistka - Radziśka

Samochodna kompania

Łączności II Dywizji im. J. H.

2 DP im. Dąbrowskiego





Łdżęćć 2001000 10 1944v  
10 Reubertonic

Kapral Hanna Pawłowicz

Na froncie: telefonistka -  
Radzistka

Samodzielna kompania  
Łączności II Dywizji sm.

J. H. Dąbrowskiego

nr 33

Kapr. Hanna (Pawłowicz)  
Szelewicz - telefonistka-  
radzistka Kompanii Łączności  
2 DP im. J. H. Dąbrowskiego.

1. WSK - Teczel: Osobose
2. T. 2472 / WSK
3. nepr.,
- 4.
5. PAWŁOWICZ Anna Elżbieta  
zam. Szelewisz
6. 1944 r. w Rembertowie
7. brat
8. Uwagi: brak opisu fot.

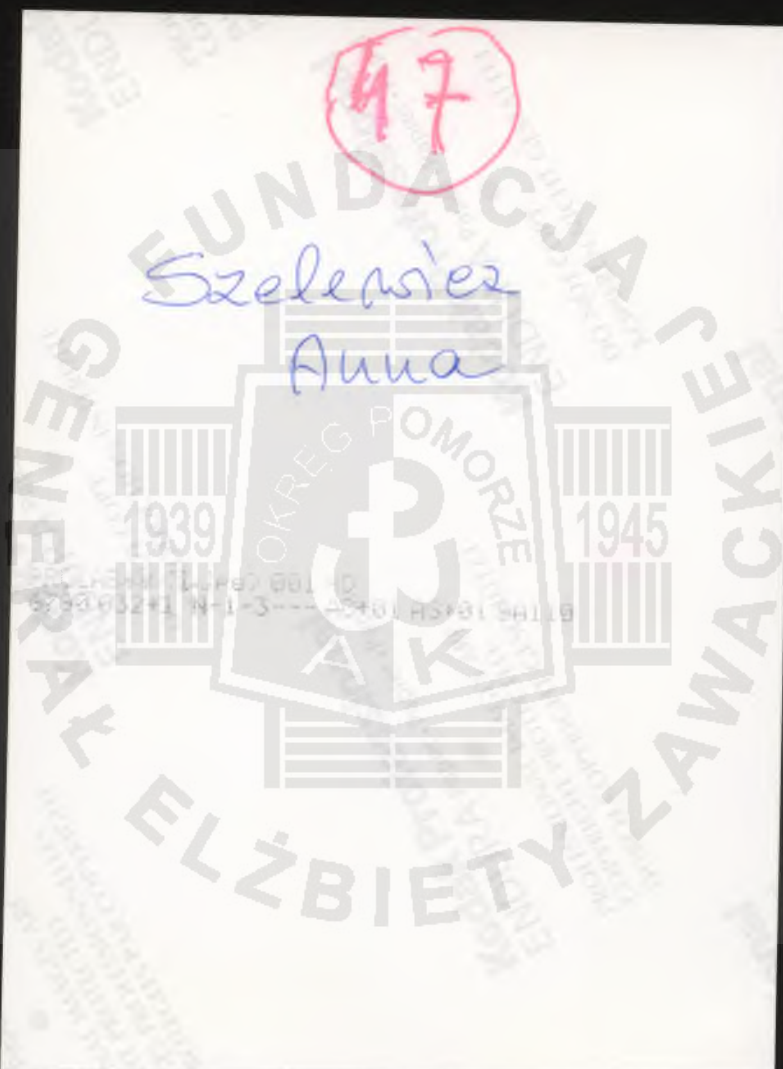
(2)





47

Szelesiewicz  
Anna





w-wa ul. 29 Głogowska rok 1945-  
26. lipiec. Pierwszy urlop.  
Przyjechałam z Koźła do ciotki w w-wie  
siostry mego ojca Stefani Kondaińskiej  
Hanka Pawłowiec

PAŃKOWICZ Anna Elżbieta

